Nr. 1. Poznań, dnia 7 Stycznia 1906 r. Rok X.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 1-go.

Dział polityczny: Projekt wywłaszczenia — Rewolucya w Rosyi. — W sprawie przygotowawczej nauki. — Przegląd prasy. — „Straż". — Przegląd tygodniowy. — Głosy od Przyjaciół. — W sprawie wypadków w Królestwie.

Felieton: Czarna księga czyli szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

Dział kobiecy.

Dział powieściowy: Szpieg. (Ciąg dalszy) — Dla milionów (Ciąg dalszy).

Dział illustrowany: Z ojczystych stron. Ruiny klasztoru w Czerwińsku. — Wilia wnuków Sobieskiego (Wspomnienie historyczne). — Przyjdą swaci do Ciebie (Wiersz). — „Z dymem pożarów" — Złote myśli. — Maszyna parlamentarna. (Fotografie z parlamentu austryackiego) VI. — Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim. (Szkic historyczny) XXIII. — Antoni Morawski, rzeźnik-konfederat. (Wierszowane wspomnienie historyczne) — Złudzenia. Opowieść z czasów księcia Józefa Poniatowskiego. (Ciąg dalszy). — Grajek. (Wiersz). — Bogactwo węglowe Bułgaryi. — Z z Oceanu. — S. p. Józef hr. Tyszkiewicz. — S. p. Marya Rutkowska — Szanujmy język ojczysty! — Nasza ofiarność. — Wiadomości. — Nekrologia. — Ruch w Towarzystwach. — Dział szaradowy — Humorystyka. — Ogłoszenia.

Illustracye: albumowa: Siostry. — Wnętrzne kościoła w Czerwińsku. — Ruiny zamku w Czerwińsku. — Konkurent. — Dwie figlarki. — Studyum. — Dwie ryciny do artykułu p. t. „Bogactwo węglowe Bułgaryi. Portret ś. p. Józefa hr. Tyszkiewicza. — Portret ś. p. Maryi Rutkow- — Ciekawa opowieść.

Nakład 12 tysięcy.

Oświadczenie.

Od dnia dzisiejszego biorą odpowiedzialność wobec prawa prasowego: za dział polityczny p. *Idzi Świtała*, za działy: illustrowany, powieściowy, rolniczo-ekonomiczny, kobiecy, rozmaitości i humorystykę p. *Bolesław Rakowski*, za dział ogłoszeń p. *Wincenty Szmytkowski*, wszyscy z Poznania.

Poznań, 7 stycznia 1906.

Redakcya i Administracya „Pracy."

Projekt wywłaszczenia.

W harmonię noworocznych życzeń i rozpamiętywań zakradł się z złowrogim zgrzytem syk węża hakatystycznego.

Pojawił się nowy projekt, projekt od wszystkich dotychczas uchwał i ustaw najgorszy, projekt godzący wprost w nasz byt narodowy.

Chcą nas z ziemi naszej wywłaszczyć, inaczej mówiąc: włościaninowi, chłopu polskiemu, polskiemu chałupnikowi chcą odebrać dom, ziemię, całą jego posiadłość i pokazać mu potem drogę tam, gdzie go oczy poniosą.

Ale hakatyści to ludzie przecież nie najgorsi. Nie chcą oni tego zrobić wszystkim od razu. Nie! — chcą oni najpierw wypchnąć tych, co mieszkają w około miast, a gdy ziemię tę rozdają między Wilmów i Fryców, to zabiorą się następnie do dalszych wiosek, aż pewnego pięknego poranka wschodzące słońce zdziwi się, że na polskiej ziemi brak chłopa polskiego, że tam, gdzie brzmiała pieśń: kiedy ranne wstają zorze — obce słychać głosy.

Prawie nie do uwierzenia, a jednak na prawdę projekt taki powstał, a co najgorsza — to zdaje się — uzyskał już zakulisową sankcyę powag urzędowych.

Przypuszczenie to opieramy na dwóch faktach. Nasamprzód projekt podaje półurzędowy organ „Koelnische Zeitung" — a następnie to samo pismo, które już wielokrotnie co do wrogich Polakom projektów okazało się wiarogodnem, powołuje się na rozporządzenie rządowe, mocą którego *trzej prezesi naczelni i to poznański, zach.-pruski i śląski zawezwani zostali do przedłożenia sposobów germanizacyjnych, działających jak najspieszniej i jak najskuteczniej.*

Możnaby, idąc w przypuszczeniach swoich bardzo daleko, odnośny artykuł „Koeln. Ztg." wprost już za sam uważać projekt — a może za głos rządu, chcącego wysondować nasamprzód opinię publiczną, ażali już pora na podobny plan.

Jakiż on plan? W krótkich zarysach jest on następujący.

Badanie dwudziestoletniego postępu kolonizacyi — a z nią germanizacyi „kresów wschodnich" nie wykazały należytych a spodziewanych skutków. Czemu? — Oto dla tego, ponieważ dotąd komisya kolonizacyjna kupuje to, co jej ktoś z dobrej swojej woli ofiaruje. Kupuje więc ziemię w najodleglejszych od siebie okolicach — bez planu wytkniętego. Planu takiego być nie może dopóty, dopóki Polacy posiadają niezaprzeczone i nienaruszone *prawo własności swej ziemi.*

Otóż taki jest ostateczny wniosek hakatyzmu: Polakom nic nie zrobimy — póki nie naruszymy ich prawa własności do ziemi.

I my sobie z tego zdajemy jasno sprawę, że tak jest. Póty, póki ziemia w naszym ręku, póki gromadami na niej mieszkamy, póki praca na roli wiąże do gleby lud nasz, póty byt nasz narodowy zapewniony. Z chwilą jednak, kiedy ta ziemia po dobrej naszej lub wbrew woli naszej z pod stóp nam

się usunie — masy ludu naszego wydane będą na wszelkie niebezpieczeństwa, a w końcu w znacznej ilości na łup molocha germańskiego.

Nowy ten więc projekt zawiera istotnie większe i groźniejsze od wszystkich poprzednich w sobie niebezpieczeństwo.

Skądże hakatyści na ten szalony projekt wpadli?

Przebąkiwano o nim już przed świętami, ale nie wierzyliśmy wręcz, by w państwie konstytucyjnem zdołano podnieść rękę na własność obywatela, i to obywatela, który obowiązki swe, jak powszechnie jest znane, z równą spełnia gorliwością, jak wszelkie Fryce, a z pewnością mniej ma pretensyi do poparcia i pomocy rządu od tamtych. Być może, że hakatyści naradzali się w tym czasie nad rożnymi projektami i że z tych narad wysunął się ten, o którym mowa.

Jak we wszystkiem, co hakatyści czynią, tak i w tym przypadku, projekt ten nowy zaprawiony jest wiązanką perfidyi. Mowa więc o *bojkocie* polskim, o *zachłanności* polskiej w wykupywaniu ziemi — przyczem dodaje się, że właśnie od mowy cesarza na rynku w Gnieźnie Polacy większe robią wysiłki, by „najwyższym“ słowom kłam zadać. Obok więc perfidyi — jeszcze denuncyacya.

Dalsza perfidya tkwi w tem także, w jaki sposób uzyskać uchwałę wywłaszczania Polaków. Dotąd — wiadomo — stawiał rząd w sejmie pod obrady projekt z odnośnymi paragrafami, sejm projekt przyjmował, projekt stawał się prawem — i służył sprawie niemieckiej.

Ta droga dziś już hakatystom za długa. Obawiają oni się może słów prawdy ze strony posłów naszych, a może wstydu chcą uniknąć wobec całego świata. Dla tego wynaleźli pomiędzy istniejącymi już prawami ustawę, na mocy której bez sejmu, bez dyskusyi, bez wszystkiego Polaków wywłaszczać chcą.

W rzeczywistościc prawo wywłaszczania obywatela pruskiego istnieje — nie zostało jednak uchwalone w tej myśli i celu, w jakim go nadużyć chcą obecnie hakatyści. Chodzi tutaj o prawo ogólnie znane, mocą którego rząd może komuś odebrać część albo i całą własność, gdy chodzi o tak zw. *interes publiczny,* a mianowicie o pobudowanie kolei, fortecy, koszar, budynków rządowych i t. p. Prawo, na które hakatyści się odwołują istotnie dotąd temu celowi służyło — dla dobra publicznego, t. j. dla dobra wszystkich obywateli pruskich tak Polaków jak i Niemców. Hakatyści to prawo chcą nagiąć do swoich celów, a choć może na razie, t. j. dziś i jutro projekt ten wydaje nam się niewykonalny, to niewątpliwie grozi on nam naprawdę utratą najważniejszej podwaliny naszego narodowego bytu — to jest *utratą ziemi.*

Wystawmy sobie, że rząd posłucha głosu hakatystów. Cóż się wówczas stanie! — Zabiorą się najpierw hakatyści z komisyą kolonizacyjną do ludności polskiej bliżej miast. Według znanych środków i sposobów represyjnych zmuszą kolonistów do kupowania u niemieckiego rzemieślnika i kupca, wyprą przez to kupców i rzemieślników polskich. Koniec będzie taki, że miasta i miasteczka nasze same oraz najbliższe ich wioski będą niemieckie. Powoli krąg ten się rozszerzy aż wreszcie stanie się to, do czego hakatyści otwarcie dążą, na polskiej ziemi nie będzie Polaka.

Cel to jasny — a środek, jaki obecnie projektują, z łatwością ich do tego celu doprowadzi.

Z tego powinno sobie społeczeństwo nasze jasno zdać sprawę. Nam na doprawdy nie zależy na tem, by niepotrzebnie opinię naszą niepokoić. Widzimy jednakże, jak ona się pod ciosami hakatyzmu łamie, mięknie, potulną się robi — a to wrogów naszych ośmiela.

Nam nie na krzyku zależy, ale za-

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

I. Napływ Niemców.

Wiadomo Wam, kochani bracia, że dnia 26-go kwietnia 1886-go roku, a więc przed laty dwudziestu podpisał król pruski ustawę, wedle której miano stale wzmacniać niemczyznę na wschodzie czyli na ziemiach niegdyś należących do Polski przez zakładanie niemieckich kolonii.

Początkowo ustawa ta zmierzała do skupywania majątków polskich w Księstwie i w Prusach Królewskich, później, gdy ziemi polskiej nabyć było coraz trudniej, rozszerzono zakres wykupywania ziemi także na Śląsk i Prusy Wschodnie czyli Mazury.

Na pierwszy ogień wyznaczył rząd pruski przed dwudziestu laty *100 milionów marek;* wydawało się, że to 100 milionów to strasznie wielki pieniądz, za który rząd pruski nieomal ze 300 szlacheckich majątków wykupi. Tak przynajmniej kalkulował sobie ówczesny prezes ministrów pruskich książę *Bismarck,* kiedy mówił że szlachta polska sprzeda majątki, a za uzyskane pieniądze pojedzie sobie pohulać do Monaco, aby tam pod pięknem niebem południowej Francyi przegrać resztki ojcowizny w ruletę lub w karty.

Ten Bismarck to był taki zacięty i uparty człek, że kiedy go jego własny król Wilhelm II. chciał posłać na odstawkę, to się monarsze swemu oparł i nie chciał oddać teki kanclerza rzeszy i ministra pruskiego; dopiero gdy go adjutant przyboczny pouczył, że w razie dalszego oporu zaaresztuje go i pośle na fortecę dopiero wtenczas uległ ten starzec zaciekły i pojechał na swoje dobra do Warzina i Friedrichsruh gdzie też przed kilkoma laty życia dokonał.

Wiadomo Wam, kochani Wiarusy, że Bismarck dostał za młodu kosza od polskiej hrabianki B., to też całe życie nienawidził on Polek i Polaków, a jako starzec 71 letni *ukuł tę ustawę o komisyi kolonizacyjnej* chcąc przez nią zgładzić Polaków, a mianowicie szlachtę polską w Księstwie i Prusach królewskich.

Myślał Bismarck wraz z rządem ówczesnym, że Polska stoi jeno szlachtą i duchowieństwem; o Was, kochani Wiarusy, o mieszczanach, gospodarzach, o rzemieślniku i o robotniku myślał, że Wy, bracia, łatwo się zniemczycie, albo też, że już jesteście na poły Niemcami i dobrymi Prusakami. Ale omylił się w tem zacnie. Bo chociaż prawdą jest, o czem jeszcze Wam później dokładnie opowiem, że przeszło 130 panów braci szlachty swe majątki przez 20 lat kolonizacyi sprzedało, to jednak lud polski pokazał, że *naród to nie jeno sama szlachta i księża,* ale że mieszczuch, kupiec, lekarz, adwokat, rzemieślnik oraz gospodarz miejski i robotnik czy to wiejski, czy miejski, czy górniczy, czy fabryczny to dopiero jest naród właściwy. A wiele go jest? Oto przy ostatnich wyborach do parlamentu to wiarusy nasze oddały bez mała 350 tysięcy głosów na naszych polskich posłów; kiedy zaś Bismarck kuł na nas prawo kolonizacyjne i pierwsze 100 milionów na wykupno polskiej ziemi przeznaczał, to wtenczas było nas jeno 200 tysięcy wyborców, czyli uświadomionych Polaków. Tak to przez 20 lat podwoiliśmy bez mała nasze głosy, naszą zgodę i naszą świadomość narodową.

Umarł Bismarck, umarł; od tego czasu utopił rząd pruski jeszcze 100 milionów i jeszcze 250 nowych wyznaczył, a z tych *450 milionów* marek, już się blizko 400 milionów rozleciało, a Polacy kiej są, tak i są i jakoś nas nie mniej jeno coraz więcej na polskich ziemiach.

Ale jednak *straszne spustoszenia* rząd poczynił; poszczerbił nam niektóre powiaty tak srogo, że i posłów swoich już tam przeprowadzić nie możemy, jako to na przykład w Toruńskiem i Wągrowieckiem gdzie całe mile kwadratowe już może na wieczne czasy z rąk polskich wyrwali.

A jaką to podwójną krzywdę nam rząd pruski wytwarza, to poznacie, kochani Wiarusy z tego, że przecie my musimy podatki tak samo płacić jak Niemcy; i z tych na-

leży na tem, by hakatyści widzieli nas zawsze w godnej naszego narodu postawie, patrzących niezmrużonem okiem na grożące nam niebezpieczeństwo, nieustraszeni nawet wtedy, gdy chodzi o nasz byt narodowy.

I w tej chwili nie tracimy spokoju i równowagi, a choć znamy całą doniosłość projektu nowego, nie wpadamy w symentalny lament i nie ubolewamy rzewnie nad grożącą nam zagładą. Jeżeli mamy umrzeć, to wolimy umrzeć jak przystoi na synów bohaterów z pod Racławic i Ostrołęki w tem przeświadczeniu, że piersią naszą zakrywamy zalewowi germańskiemu przystęp do dalszych siedzib bratnich, pamiętni na słowa wieszcza naszego Juliusza Słowackiego:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.

Rewolucya w Moskwie.

Krwawo rozpoczął się rok ubiegły w Rosyi, lecz jeszcze krwawiej się zakończył. Jak już donosiliśmy w przeszłym numerze, wybuchła w „sercu Rosyi“ — *w Moskwie* w sobotę przed świętami Bożego Narodzenia *zbrojna rewolucya.*

Wybuch ten wywołał za granicą niemałe zdziwienie. Już bowiem strejk ogólny, którym stronnictwa rewolucyjne odpowiedziały na reakcyjne zapędy rządu, nie przybrał takich rozmiarów, jakich się spodziewano. Jasnem było, że znaczna część robotników jest już wyczerpana i znużona długą walką. Tysiące ludzi rozmaitych zawodów, którzy podczas poprzedniego strejku ochotnie usłuchali wezwania do porzucenia swoich zajęć, tym razem nie przyłączyły się do bezrobocia, przeciwnie głośno nawet protestowały przeciwko nowej takiej akcyi rewolucyjnej. Tem mniej więc spodziewać się było można, że tysiące te staną *do orężnej krwawej* walki z rządem. I najpoważniejsza z organizacyi rewolucyjnych: *„Sojusz Sojuszów“* czyli „Związek Związków“ w Petersburgu — stanowczo oświadczył się przeciwko zbrojnemu porywowi w obecnej chwili. Występowała przeciwko temu także większość liberalnej i radykalnej prasy — lecz również daremnie. Na ulicach Moskwy mimo to zawrzała krwawa walka.

Kto wybuch ten zorganizował, kto nim kierował i jaki główny cel miał na oku, co do tego brakuje na razie jeszcze dokładnych danych. Zdaje się, że wywołały go najskrajniejsze żywioły rewolucyjne, którym postępowanie „Związku Związków“ i innych organizacyi wydawało się już za słabe, za mało energiczne. Przenieśli oni punkt ciężkości akcyi rewolucyjnej do Moskwy, sądząc widocznie, że tu łatwiej dopną zamierzonego celu, niż w przepełnionym wojskami Petersburgu. Zdaje się dalej, że zamierzali oni, opanowawszy prastarą tę stolicę Rosyi, tu ogłosić rząd rewolucyjny i ująć w swoje ręce władzę naczelną nad całym ruchem. Pomysł był niesłychanie śmiały, niemal szalony i rozpaczliwy; przyznać wszakże trzeba, że ci którzy go powzięli, dobrze się przygotowali do jego wykonania. Przedewszystkiem dobrze się zaopatrzyli w broń wszelkiego rodzaju, posiadali nawet działa maszynowe i tysiące karabinów odtylcowych. Nadto pozyskali dla zamiaru swego znaczne zastępy ludu. Fama głosi, że aby ośmielić go do walki, zapewniali, że wojsko natychmiast przejdzie na ich stronę. Przebrani za żołnierzy agitatorowie zapowiadali to głośno na zgromadzeniach ludowych i — znajdowali wiarę. Gdy więc dano hasło do walki, na ulicach Moskwy pojawiły się hufce, liczące przeszło 30,000 ludzi.

szych podatków rząd także bierze pieniądze na wykupywanie ziemi: więc my sami na siebie musimy kuć broń, nasze pieniądze Polaków bierze rząd i za nasze to pieniądze chociaż częściowo tylko znowu ten sam rząd wykupuje nam z pod stóp polską ziemię. Jest to strasznie przykre i bolesne, a przecież przysłowie chrześcijańskie mówi: „Co tobie niemiło, to drugiemu nie czyń!“

Przypatrzmy się też jeno, *ile to Niemców* owa komisya kolonizacyjna *sprowadziła dotychczas* na nasze polskie ziemie?

Otóż nasamprzód osadziła komisya w mieście Poznaniu, gdzie jest jej właściwa siedziba, około 500 urzędników, którzy przyczyniają się wielce do zniemczenia stolicy Przemysławów. Ci urzędnicy w walce z polskością wszędzie maszerują na czele: czy to należąc do towarzystwa *HKTystów*, czy też przy wyborach do rady miejskiej lub do sejmu i parlamentu wszędzie oni są pionierami niemczyzny.

Dalej sprowadziła kolonizacya całe setki dzierżawców, zawiadowców, administratorów, inspektorów, i jak się tam nazywają, a osadziwszy ich na majątkach zakupionych każe im popierać niemczyznę, kupować u niemieckiego kupca i rzemieślnika, każe im wydalać lud polski, a brać do roboty w polu Niemców i lutrów jak to już nieraz stwierdzono przez oddrukowanie jej instrukcyi w polskich gazetach.

Wszystkich zaś kolonistów Niemców musimy uważać za wrogów polskości; bo im rząd patrzy na palce, aby u Polaków nie kupowali, aby się z Polakami katolikami nie bratali, nie żenili, a bojąc się, aby mimo to wśród nas się nie spolszczyli, aby nie zostali katolikami, osadza rząd ich „kupą“ *po kilkanaście lub kilkadziesiąt rodzin* i buduje im zaraz luterskie zbory i luterskie szkoły! A wiele też kolonistów już do dziś tak osiedlono? Oj, bardzo wiele bo aż 9121 rodzin, licząc na rodzinę 6—7 głów to osiedlili już przeszło 60,000 dusz i to luterskich, bo katolików-Niemców nie ma w tej liczbie ani 3000-cy! Prócz tego pościągali koloniści jeszcze roboczych familii niemieckich przeszło 1200, tak iż ogółem osiedlono przez lat 20 około *70,000 głów niemieckiego szczepu!*

Chociaż nasz szczep polsko-słowiański mnoży się nadzwyczajnie silnie, chociaż o nas kanclerz Bülow powiadał, że plenimy się jak króliki, to tego dowcipu pana ministra pruskiego nie powinniśmy brać za dobrą monetę; nie wolno nam oczu zamykać na niebezpieczeństwo nam grożące ze strony napływu kolonistów niemieckich. Jest nas wprawdzie w Księstwie Poznańskiem 1,300,000 katolików w tem 1,200,000 Polaków, podczas gdy Niemców i żydów jest tylko 600,000, lecz stosunek ten jest o wiele gorszy w Prusach Królewskich, gdzie ludność polska tylko nie wiele więcej stanowi nad połowę ludności ogólnej. Przytem nie należy nam, kochani bracia, zapominać o nowej ustawie z września 1904-go roku, która zabrania Polakom pobudowania się na własnej ziemi, która nie pozwala naszym gospodarzom stawiania domów mieszkalnych i nowych tworzyć osad. Jest obawa, że nasz lud polski niestety jeszcze więcej przez to zacznie dążyć na wychodźtwo. Lepiej już w takim razie ażeby, nie mogąc pozostać na wsi, przeniósł się do naszych polskich miast i miasteczek i tam chwytał się kupiectwa, przemysłu lub rzemiosła.

Komisya kolonizacyjna wykupiła dotąd przez 20 lat *przeszło 150 gospodarstw polskich,* a ponieważ sprzedawczykostwo szerzy się w ostatnich latach przeważnie wśród włościan naszych mniejszych to znaczy gospodarzy przeto pamiętaj bracie miły, abyś w otoczeniu swem wstrzymywał gospodarzy od handlu ziemią. *„Tyle Polski — ile ziemi“* mówi nam słusznie bardzo przysłowie. Nie łudźcie się bracia gospodarze, zyskiem ani myślą, iż za uzyskany pieniądz spokojnie bez pracy żyć będziecie mogli. Przeniesieni w inne warunki bytu,, do miast, stracicie grosz Wasz albo na lekkomyślne interesa na których włościanin się nie zna i znać nie może, albo strwonicie go prędzej czy później, bo bez kupieckiego wykształcenia człek w mieście zarobkować nie może. *Trzymajmy się zatem ziemi, naszej żywicielki!*

K. R.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Plan kierowników tego porywu polegał na tem, ażeby przedewszystkiem zająć pałac generał- gubernatora, wreszcie dworce kolejowe. Zamierzano miasto odciąć od Petersburga i innych miast garnizonowych, aby przeszkodzić przewożeniu wojskowych posiłków do Moskwy. Aby zaś załogę miasta tego ubezwładnić, wzniesiono w nocy z piątku na sobotę (przed świętami) na wielu ulicach silne barykady.

Walka rozpoczęła się w sobotę rano na ulicy *Twerskiej*, głównej ulicy Moskwy, przy której położone główne gmachy rządowe. Przybrała ona od razu strasznie zacięty i srogi charakter. Zapewnienia agitatorów, że wszystko przejdzie na stronę powstańców nie spełniły się. Żołnierze pozostali wierni rządowi, nietylko że spełniali wszystkie rozkazy, lecz nadto sami dopuszczali się strasznych okrucieństw.

Mimo to, ponieważ z początku wojska było mało, a władze potraciły głowę — przez pierwsze pięć dni los walki był niepewny. Każdą barykadę wojsko kilkakrotnie na nowo zdobywać musiało, zaledwie bowiem ustąpiło lub poszło dalej, znów odbudowano je na nowo. Mnóstwo kamienic, w których oszańcowali się powstańcy, trzeba było zdobywać szturmem przy pomocy artyleryi, która kruszyła mury pociskami działowemi. Niektóre epizody walki były wprost okropne. Gdzie powstańcy nie chcieli się poddać, tam wojsko burzyło domy zupełnie. Setki ginęły tam pod gruzami lub w płomieniach. Lecz zamiar powstańców opanowania dworców i torów kolejowych nie powiódł się. Wkrótce z Petersburga i z innych miast nadeszły posiłki wojskowe. Z Petersburga przysłano wierny carowi pułk gwardyi Siemionowskiej, komendantem wojsk mianował rząd rzutkiego i energicznego generała *Miszczenkę*, znanego z wojny rosyjsko-japońskiej. Po pięciu dniach też zwycięztwo chylić się zaczęło na stronę wojska. Powstańcom wyczerpała się amunicya. Ostatnie ich hufce zabarykadowały się w fabryce Prochorowa i na przedmieściu Presna. Tam przyszło do ostatniej walki, która skończyła się zupełnym pogromem rewolucyonistów. W dzień Nowego Roku rząd był znów panem miasta. Kierownicy ruchu, o ile nie polegli, lub nie dostali się do niewoli, uciekli. Miasto straszny przedstawiało widok. Około 60 wielkich kamienic i fabryk zupełnie legło w gruzy, mnóstwo innych było znacznie uszkodzonych. Liczba ofiar była ogromna. Poległych i rannych ma być przeszło *15,000!* Straty materyalne, jakie Moskwa poniosła przez tę rewolucyę, obliczają na kilkadziesiąt milionów rubli. Lecz nie koniec na tem. Wieści o pierwszych sukcesach rewolucyonistów w Moskwie wywołały także w innych miastach podobne wybuchy. I w Petersburgu mimo przeciwnej agitacyi kół rozważniejszych, przez kilka dni sytuacya była bardzo groźna. Tu atoli rząd rozwinął wielką energię. Rozpoczął on aresztowania na wielkie rozmiary i w kilku dniach wyłowił wszystkich propagatorów i agitatorów zbrojnego porywu. W innych miastach, jak np. w *Saratowie, Charkowie, Niżnym Nowogrodzie* i *Bachmucie* nad Donem wybuchły walki podobne, — lecz wszędzie już zostały stłumione. Wojsko bowiem i tam pozostało wiernem rządowi.

Tak skończył się tam gwałtowny zbrojny — a w gruncie rzeczy niesłychanie nierozważny nawet zbrodniczy poryw rewolucyi. Nazywamy go zbrodniczym, bo z góry nie rokował widoków zwycięztwa; dla każdego zaś ruchu wolnościowego nie ma nic zgubniejszego jak takie lekkomyślne narażanie się na klęskę. Nie ulega też wątpliwości, że zwycięztwo odniesione w tej walce, znacznie wzmocni stanowisko rządu. Dziś już uderza on w ton tryumfu i zabiera się do tego, ażeby spętać do reszty cały ruch rewolucyjny. A coraz więcej z tych, którzy pierwotnie stali całą duszą po stronie rewolucyi, przechodzi dziś na jego stronę. Zanadto bowiem te niewczesne wybuchy, wywoływane przez najskrajniejsze żywioły, dają się już we znaki całemu społeczeństwu rosyjskiemu. Więzienia w Petersburgu i wszystkich prawie wielkich miastach rosyjskich przepełnione są więźniami politycznymi, większa część kierowników ruchu rewolucyjnego jest w nich zamknięta.

Co dalej będzie trudno na razie przewidzieć. Rząd zaraz po wybuchu rewolucyi w Moskwie uczynił krok bardzo rozsądny, ogłosił nową *ustawę wyborczą do Dumy* i zapowiedział, że zwoła to ciało prawodawcze najpóźniej do pierwszego marca. Ustawa ta nie daje wprawdzie powszechnego prawa głosowania, o które tak groźno wołały rewolucyjne żywioły, rozszerza jednakże prawo wyborcze *bardzo znacznie*, jest w każdym razie daleko lepszą niż trzyklasowy system wyborczy w Prusach. Umiarkowane żywioły godzą się się też na razie na takie wybory i nawołują ludność do spokoju i do realnej pracy w dziedzinie konstytucyjnej. Wszystko będzie teraz zależało od tego, jak rząd dalej postępować będzie. Jeźli spełni przyrzeczenia manifestu carskiego z 30-go października, może nareszcie zapanuje spokój w Rosyi. Łatwo atoli być może, że po tem zwycięstwie znów górę weźmie reakcya i że tłumiąc zawzięcie cały ruch wolnościowy nowe rozpęta walki i burze.

„Jest nawet rzeczą możliwą — pisze jeden z dzienników europejskich, — że obecnie i wybory do Dumy odbędą się pod nastawionemi bagnetami, z natury rzeczy wynika bowiem, że jeśli przemoc wojskowa raz zostanie zastosowana z powodzeniem, reakcya nową zaczerpnie nadzieję i wybory będzie się starała według swojej przeprowadzić myśli...“

Pomimo tego ten sam nawet dziennik stwierdza, że grudniowe walki na barykadach w Moskwie przez to mogą stać się katastrofą dla dotychczasowego systemu, iż wybuchły właśnie w odwiecznej twierdzy jego potęgi i jego tradycyi — a to bez względu nawet na to, że niewątpliwie zwycięstwo wojska wzmocni na razie zapędy reakcyi. Moskwa była dotychczas symbolem dawnej Rosyi; obecnie jest zagadkowym krwawym znakiem i nikt nie może dziś jeszcze z niego wyczytać, czego przyszła Rosya może się spodziewać, albo czego obawiać... Obaw tych nie brak bowiem; dają im wyraz i inne dzienniki, wyrażając przypuszczenie, że idee wolnościowe w Rosyi stoją nad brzegiem przepaści i że zgasnąć może ta zorza, którą rozniecił październikowy manifest...

Co do nas to tych obaw nie podzielamy.

Lector.

W sprawie przygotowawczej nauki do sakramentów św.

wydał Najprzew. Ks. Arcybiskup godny uwagi i znamienny okólnik. Okólnik spowodowany został według słów okólnika z dnia 16 października ub. r. „lekceważeniem zasad i przepisów moralności chrześciańskiej“ u młodzieży. Przyczyną tego według ogólnego przekonania brak dostatecznej znajomości — nauki religii chrześciańskiej.

Najświeższy okólnik podaje rozszerzenie dotychczasowego zakresu tej nauki i to tam, gdzie Kościołowi jest to możliwe, mianowicie podczas przygotowania do Sakramentów Spowiedzi i Komunii św. Dotąd zakres tej nauki zazwyczaj obejmował kurs dwuletni. Obecnie kurs ten przedłużony będzie o rok, o ile dziecko w odnośnym egzaminie nie wykaże, że posiada dostateczny zasób znajomości religii chrześciańskiej.

Ks. Arcybiskup nawięzuje swój okólnik do listu cesarza, w którym tenże wypowiada pochwałę dla dążności Najprzew. Ks. Arcybiskupa ku przeciwdziałaniu ideom przewrotu, zatruwającym młode dusze dorastającego pokolenia.

Opuszczając początek okólnika, zawierający zwykłe w takich razach zwroty grzeczności, podajemy resztę w całości ze względu na doniosłość jego nie tylko dla chwili obecnej, ale i na przyszłość:

„Przewielebny Arcybiskupie! Z przedłożonego mi listu pasterskiego z dnia 16-go października r. b. przekonałem się ku Mojemu zadowoleniu, jak bardzo Przewielebność Wasza podejmuje starania około wzmocnienia wiary chrześciańskiej we wzrastającem pokoleniu, a wskazując przytem na winne poszanowanie dla powag najwyższych w Kościele i państwie do wiernego spełniania obowiązków względem Kościoła i państwa upomina. Rząd Mój będzie usiłowania Wasza około stawiania zapór rozprzestrzeniániu się idei przewrotu przez rozszerzenie i pogłębienie znajomości prawd wiary chrześciańskiej w sercach młodzieży chętnie popierał. Tem więcej mam nadzieję, iż Przewielebność Wasza przy bliższych rozporządzeniach celem pogłębienia nauki przygotowawczej o to starać się będzie, aby duchowieństwo wskazówki, które ma otrzymać, w tym samym duchu wierności dla państwa wykonywało, w jakim je wedle zapewnienia Wasza Przewielebnoś6 wydaje.

Pozostaję Waszej Przewielebności dobrze życzliwym

Nowy pałac, dnia 27 listopada 1905.

Wilhelm, R.“

Do

Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego Dr. Floryana Stablewskiego.

W liście pasterskim dałem wyraz obawie mojej o osłabienie zasad chrześciańskich i religijności w sercach naszej młodzieży. Wskazałem na to, jak prądy nowoczesnego pogaństwa poczynają już powoli wciskać się w każdą szczelinę. Doświadczenia zebrane przez starsze Duchowieństwo, liczne głosy rodziców i wychowawców i własne spistrzeżenia, jako też skargi z ludu Mnie dochodzące utwierdzają Mnie w przekonaniu, że dotąd tak gorące poczucie moralności chrześciańskiej słabnąć poczyna i w naszej już młodzieży. Mnożą się coraz więcej występki niedorostków, których najczęstszą przyczyną między innemi łatwość do pijaństwa i wpływy zepsutego towarzystwa. Spostrzeżenia te spowodowały Mnie do podniesienia głosu pasterskiego, aby tak Duchowieństwo Moje, jak Rodziców, wezwać do wspólnego ratowania naszej ukochanej młodzieży i to tym sposobem, który jest najodpowiedniejszy i nam możliwy, przez pogłębianie i rozszerzanie nauki przygotowawczej do Sakramentów św.

Doświadczenie zaś wykazuje, iż nieodzownym środkiem do skuteczności nauki religii, tej nauki, która ma serce przenikać i serce rozgrzewać, jest mowa, w którym matka pierwsze wyrazy i pojęcia religijne w umyśle dziecka utrwala.

Spełnianie też wierne i stanowcze obowiązków, jakie na nas przynależność do państwa wedle woli Bożej i według wskazówek religii św. nakłada, jako też prawdziwa miłość i pielęgnowanie tego, co nam jest święte i drogie, najlepiej nas obroni przed zamiarami socyalnego przewrotu i przed szerzącym się coraz więcej duchem bezwzględnego samolubstwa i ziemskiego tylko używania.

Na ostatniej kongregacyi XX. Dziekanów w ogólnej zgodności zdania wydałem następujące uzupełnienie dawniejszych i dotąd już wykonywanych rozporządzeń w sprawie przygotowania dzieci do Sakramentów św.

1) Przygotowanie młodzieży do sakramentów św. we wszystkich parafiach obydwóch archidyecezyi już od 1 września ma się rozpocząć i ma trwać zazwyczaj dwa lata.

2) Jednakże po pierwszym roku przygotowania tylko te dzieci mogą być przyjęte do spowiedzi św., które zupełnie dostatecznie są przygotowane.

3) Reszta zaś jeszcze drugi rok naukę przygotowawczą do spowiedzi św. pobierać winna i dopiero w trzecim roku do komunii św. przyjętą być może.

4) Przygotowanie do spowiedzi św. winno trwać do miesiąca lipca, przygotowanie zaś do komunii św. winno się kończyć w czasie między Wniebowstąpieniem a uroczystością Trójcy św.

Czas jednakże przeznaczony sam nie wystarczy, jeżeli gorliwość pasterska nie rozgrzeje serc młodzieńczych, nie wzbudzi w nich zamiłowania do nauk i prawd religii św. i nie rozniecí w nich tego ciepła wiary, któraby rozpalała pociąg do dobrego. Błagam więc Was, ukochani Kapłani i Was Rodzice, abyście jak dotąd mimo przeszkód najrozmaitszych nie szczędzili starań i trudów około zapoznania dzieci z nauką Boską, umacniania w ich sercach uczuć szlachetnych, bronienio ich przed upadkiem moralnym.

A mam w Bogu nadzieję, że głos Mój arcypasterski pełen obaw i troski o przyszłość i zbawienie dusz naszej dziatwy, znajdzie zrozumienie i chętny posłuch u Mojego zawsze tak wiernego Mi i gorliwego Duchowieństwa.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański
† Floryan.

Przegląd prasy.

W ostatnim miesiącu ub. roku wybiła się na naczelne miejsce w sprawach naszych — sprawa „Lecha“ i konwiktów oraz sprawa „Przewodnika Katolickiego“.

W sprawie zatargu „Lecha“ z Najprzewielebniejszym ks. Arcybiskupem zabieraliśmy już głos. Pośrednio złączona z nią jest sprawa „Przewodnika katolickiego,“ który bardzo energicznie wystąpił przeciwko „Lechowi.“ Niezależna prasa ludowa podchwyciła przy tej okazyi sprawę „Przewodnika,“ a dołączył się do tego jak na nieszczęście zarzut przeciwko temuż pismu, uczyniony mu na zebraniu starostów „Straży,“ że nie przyjmuje on żadnego komunikatu „Straży,“ nie ogłasza wieców i t. d.

Zarzut ten podchwycił „Dziennik Kujawski,“ a na alarm jego ukazał się w „Dzień. Pozn.“ komunikat pp. Józefa Kościelskiego i p. dra Tadeusza Jaworskiego, donoszący, że „Przewodnik katolicki“ jako pismo kościelne do spraw politycznych się nie miesza, i że zresztą w istocie łamów swoich „Straży“ nie zamknął.

Jakby na usprawiedliwienie tego obwieszczenia „Przewodnik kat.“ — ten komunikat zamieścił. Krok ten łatwo zrozumiały, a to dla tego, ponieważ pp. Kościelski i Jaworski użyli w piśmie swem kilka pochlebnych dla „Przewodnika“ zwrotów. Zatem komunikat umieszczony był w „Przewodniku“ w celach — reklamy.

Mniejsza zresztą o to, boć przecież wiadomo, że „Przewodnik,“ którego najwięcej reklamują księża — tej reklamy nie potrzebował.

Co atoli najgorsza to, że komunikat pp. Kościelskiego i Jaworskiego robi wrażenie stronniczości, tem więcej, że zdaje się, jakoby wychodził urzędowo

od głównego zarządu „Straży.“ Tymczasem „Straż“ ma obowiązek unikania wszelkich nawet odcieni stronniczości — nie tylko we własnym, ale i w interesie całego społeczeństwa.

Sprawa zaś „Przewodnika“ samego przedstawia się na tle narodowem dla społeczeństwa — niejasno. Niepodobna zaprzeczyć, że dotarł on tam, dokąd żadne pismo ludowe byłoby może nie dotarło, że nauczył on setki dziatek polskich czytać po polsku — ale pozostając pod wpływem Władzy Duchownej, która dziś znajduje się wprawdzie w ręku Polaka, a w przyszłości znaleść się może w obcych rękach — i cóż wtedy?

Może nadejść czas, taka jest opinia prasy naszej, że „Przewodnik“ obróci się przeciwko naszym interesom, a wtenczas może wielką krzywdę naszej sprawie wyrządzić.

Bo nieprawda, że „Przewodnik“ nie zajmuje się sprawami politycznemi. Było tak z początku — później jednakże niejednokrotnie wyraźnie objawiał tendencye polityczne. Może tak być zatem i w przyszłości. Zatem — społeczeństwo na „Przewodnika“ baczne powinno zwrócić oko. Niestety dotąd się to nie działo. Część oświeceńsza „Przewodnika“ uważała za pisemko niepozorne, niewinne, pożyteczne nawet — i nie interesowała się niem, nie czytywała go.

Tymczasem niepozorność „Przewodnika“ okazuje się złudną wobec ogromnej ilości jego czytelników. Liczba ta wynosi według „Dzien. Kuj.“ — 60 tysięcy, „Orędownik“ określa ją zaś tak, jakoby cała prasa ludowa nie posiadała nawet połowy czytelników „Przewodnika.“ Być to łatwo może. Liczba ta wskazuje, że „Przewodnik“ w danej chwili może być potęgą. Mamy więc obowiązek baczyć na to, by ta potęga nie zwracała się przeciwko nam, t. j. przeciwko — interesom sprawy polskiej.

„Nowy Rok“ przyniósł nam całą powódź artykułów. Powiedziano tam wiele rzeczy banalnych, naskładano szablonowych życzeń — nie zasługujących na wzmiankę.

Z powodzi tej wyróżnia się jednak artykuł „Orędownika.“ Powiada on, że rok 1905 „wielkiemi głoskami zapisany będzie w dziejach świata,“ że „utrzymywał on świat w naprężeniu ciągłem,“ a może nawet historycy zaczną od niego datować „nową epokę.“

Czemu? — Rok 1905 wysunął na widownię świata Japonię z pogańską cywilizacyą przeciwko Europie, reprezentowanej przez mocarstwa z cywilizacyą chrześciańską. A ile razy się dotąd zdarzało, że chrześciańska Europa walczyła przeciwko pogańskiej Azyi — zawsze pierwsza zwyciężała. Dowodem dzieje Polski i ostatnia odsiecz Wiednia przez króla Jana Sobieskiego.

A teraz? — Niebywałe w dziejach zachodzi zdarzenie: „mocarstwo chrześciańskie, i to pierwszorzędna potęga polityczna zostało pokonane, wprost zgruchotane przez pogańskie mocarstwo azyatyckie. Japonia wykazała nie tylko wysokie wydoskonalenie w sztuce wojennej, ale także wielką wartość moralną w cnotach obywatelskich.“

Nie należy atoli ztąd wnosić, jakoby kultura chrześciańska w zestawieniu z pogańską — miała słabnąć. Przeciwnie ten pogrom kultury chrześciańskiej przez Japonię pogańską policzyć należy na karb „zniszczonej moralnie przez niegodziwe rządy sług cara Rosyi.“

Rok 1905 zniszczył nie tylko potęgę Rosyi — lecz sprowadził także znaczne zmiany w międzynarodowej polityce europejskiej. Polityka ta pomimo kolonii zamorskich, pomimo uznawania znaczenia Ameryki — obracała się na ciasnym terenie Europy. Obecnie jednak, Stany Zjednoczone i Japonia zaważą silnie na szali międzynarodowych stósunków. Jak ta zmiana „w przyszłości będzie oddziaływała na państwa i narody w Europie,“ to na razie jest tajemnicą, ale być może, że już w roku 1906 pewne skutki w tym kierunku wykaże.

Wysoce interesujące jest zdanie „Orędownika,“ wykazujące, że „przeobrażenia w polityce międzynarodowej, na które rok 1905 wskazał, wyszły pośrednio *na korzyść narodu polskiego.*“

„Od wojny francuskiej, a więc od lat 35 — pisze dosłownie dalej tak — bieg międzynarodowej polityki i dyplomacyi pracował naturalnym biegiem rzeczy na *coraz większe gnębienie* narodu naszego. Mówimy: naturalnym biegiem rzeczy, bo Rzesza niemiecka, spojona na krwawych polach Francyi, nadawała w dyplomacyi i polityce narodowej ton decydujący. Równocześnie carat rosyjski rósł — jak się teraz wykazało, tylko w oczach Europy na potęgę jeszcze większą od Rzeszy niemieckiej. Polityka Europy szła całe lata tym szlakiem, jakim ją Niemcy i Rosya prowadziły. A te dwa potężne mocarstwa związane były ciągle nie tylko interesami na szerokim świecie, ale także tym interesem, który był rozłożony w podłuż ich wspólnej miedzy, — *to jest narodem polskim.*

„A ta wspólność interesów przy tej miedzy dała się narodowi naszemu — z tej i z tamtej strony Prosny — strasznie, okropnie w znaki. Czego naród polski nie musiał — tu i tam znosić — przez ostatnie lat 35!

„Straszne to były czasy dla nas, bo za uciskiem zewnętrznym czołgała się zmora niespokoju i wżerała się w dusze polskie: że narodu nadzieje słabe, że przyszłość jego będzie chyba czarniejszą, bo nie ma takich sił na świecie, cie, któreby podług obrachunku ludzkiego mogły zmienić dotychczasowy stosunek dwóch największych potęg, dominujących w Europie, a naród polski w przeważnej jego większości mających pod swoją opieką.

„Ten stosunek Rosyi i Niemiec w międzynarodowej polityce europejskiej, rozbił rok 1905., i dla tego nie tylko w dziejach świata, ale także w *dziejach narodu polskiego będzie on także zapisany wielkiemi, złotemi głoskami.*

„Przy tej miedzy, którą naród polski stanowi między Rosyą a Rzeszą niemiecką, już nie ma dwóch największych potęg w Europie. *Jest tylko jedna, a więc osamotniona potęga,* to jest Rzesza niemiecka.

„Taki był przebieg rzeczy w dobiegającym kresu roku; zadusił zmorę niepokojącą nasz naród, że ponad Niemcy i Rosyą niema w Europie, niema na świecie większej potęgi i sprawił to, że naród polski po 35 latach *wolniejszą odetchnął piersią.*

„Zaiste — prawda!“

Na tle ostatniego wiecu księży polsko-katolickich w Warszawie wyrosła piękna idea — łączności narodu z duchowieństwem w *Królestwie Polskiem.*

„Niezbędną dla nas — pisze pewien ksiądz w „Kur. Narodowym“ — była ta osobista wymiana myśli, cisnących piersi, żywem słowem.“ Obowiązki obywatelskie i narodowe nie mogą być wyłączone od kapłańskiego powołania. Źle się dzieje, gdzie duchowieństwo o tem zapomina. Było tak w Polsce w czasie od 1831—58 roku, straciło też za to wpływ w narodzie. Dopiero wpływ arcybiskupa Fijałkowskiego, bisk. Dekerta, Majerczaka obudził duchowieństwo polskie. Nie było od tej chwili ani jednej kolonii wygnańców bez księży, a z miejsc kaźni uwalniano ich ostatnich, tak, że tylko garstka mała i to już w podeszłym wieku w rodzinne powróciła strony. Oni byli wychowawcami i moralnymi opiekunami dzisiejszego pokolenia.

„Obecnie — pisze na koniec ów ksiądz — po ogłoszeniu prawa o tolerancyi religijnej, jakkolwiek nie wszędzie z jednaką słusznością stosowanego, duchowieństwo odzyskuje swobodę swojego powołania. Czy jednak z narodowej i obywatelskiej miałoby zrezygnować? Czyż służąc Bogu, nie powinniśmy tem samem służyć ojczyźnie naszej i stanąć do pracy w tym kraju, który jest naszym krajem z tym narodem, który jest naszym narodem! Rozszerzcie szeregi! My, księża polscy, idziemy z wami i wśród was. To nasze prawo i obowiązek. Żądania nasze, wyrażone na zjeździe, nie stoją w żadnej sprzeczności z naszem powoła-

niem duchownem i nie mogą się też spotkać z krytyką zwierzchności kościelnej, choćby ta zwierzchność nawet była źle uprzedzoną lub fałszywie informowaną.

„Obywatelska działalność księdza powinna być w zgodzie z jego sumieniem. Sumienie księży katolickich, Polaków, przemówiło zgodnie z rezolucyą zjazdu. Chrystus-Bóg-Męczennik w cierniowej koronie błogosławił uciemiężonym i udręczonym, my, słudzy Jego, wizerunek Męki Pańskiej nieść powinniśmy przed uciemiężonym i udręczonym narodem.

„Z polskim ludem — polski ksiądz, tak być powinno".

„Przegląd kupiecki" — nowe pismo przeznaczone dla młodzieży kupieckiej ukazało się z nowym rokiem na stołach redakcyjnych. „Przegląd kupiecki" jest organem „Tow. Młodzieży kupieckiej w Poznaniu," którego zakres pracy w ostatnich latach znacznie się rozszerzył. „Przegląd" zapowiada artykuły treści kupieckiej i ekonomicznej. W walce ekonomicznej kupiectwo w pierwszym stoi szeregu i zajmuje bardzo ważny posterunek, — ma więc „Przegląd kupiecki" młodych szeregowców przygotować do tej walki bronią odpowiednią: oświatą i wykształceniem zawodowem!"

My tej myśli tylko przyklasnąć możemy. Niech młodzież kupiecka jasno sobie zdaje sprawę z tego, jakie ma spełnić w przyszłości zodanie, jakie ku wspólnemu celowi zaprowadzą ją drogi, niech na tę drogę przysposobi się w odpowiedni materyał nauki i wiedzy kupieckiej — a z pewnością handel polski zakwitnie tak, jak mu tego dla dobra narodu naszego z całego życzymy serca.

„Straż."

Wiece organizacyjne „Straży" odbędą się:

6-go stycznia w Tucholi (Prusy Zach.) o godzinie 4-tej po poł.

7-go stycznia na *Wildzie* pod Poznaniem o godzinie 1-szej w południe u p. Patza.

7-go stycznia w Złotowie u p. Lamperskiego o godzinie pół do 5-tej po południu.

7-go stycznia w Ostrowie.

14-go stycznia w Bydgoszczy o godzinie pół do 1-szej.

14-go stycznia w Śremie o godzinie 3-ciej po poł.

* * *

W sprawie *„Straży"* podaje „Lech" następującą niekoniecznie wiarogodną wiadomość:

„Na powiat *witkowski* mianowany został ks. dziekan *Mierzejewski* z Niechanowa, kapłan znany z swej gorliwości w pracy społecznej, starostą „Straży." Nominacyę tę przyjął i obywatele powiatu witkowskiego cieszyli się, że mają starostę, który powszechnym cieszy się szacunkiem. Radość jednak długo nie trwała.

Na wiec „Straży" do Witkowa ks. dziekan Mierzejewski nie przybył. Nieobecność swoją uniewinnił jakimś ważnym interesem. Poczęto wtenczas przebąkiwać, że nie ważny interes wstrzymał ks. dziekana Mierzejewskiego od przybycia na wiec, ale siła „wyższa." Widocznie racyą mieli ci, którzy tak twierdzili, bo krótko potem ks. dziekan Mierzejewski złożył urząd starosty. Nie wiemy, jakie powody zarządowi „Straży" podał, ale opinia publiczna głosi, że do tego został zmuszony ze względu na to, iż jest dziekanem. Dobrzeby było, gdyby sprawa ta została należycie wyjaśniona, gdyż ogólnie sądzą, że dziekan Mierzejewski nie z własnej woli urząd złożył, że jego chęć pracy dla dobra publicznego została skrępowana zakazem z góry."

Nie zaprzeczamy wiadomości o złożeniu urzędu starosty ze strony ks. dziekana Mierzejewskiego, nie wierzymy atoli w jakąś siłę „wyższą" w tym wypadku, nie wiedząc zresztą dzięki tajemniczości „Lecha," kogo siłą wyższą nazywa. Jeżeli by miało chodzić o władzę duchowną, toż zaprzecza temu wyraźnie fakt, że jeszcze kilku księży jest starostami. Dla czego by właśnie dziekanowi miała władza duchowna zabronić starostowania w „Straży" jest nam niezrozumiałem. Życzenie „Lecha," by sprawa ta została należycie wyjaśnioną, wątpimy, czy się spełni. „Straż" bowiem prawdopodobnie o właściwych — jeżeli są inne aniżeli podał je ks. Mierzejewski — powodach się nie dowie — a władza duchowna zapewne tego też nie uczyni z tej prostej przyczyny, że sprawa ta nie tak ważna, mogąca choćby naruszyć fundamenty kościoła katolickiego. My możemy tylko ubolewać, że tak ze wszech miar godny na urząd starosty kapłan tego urzędu się zrzeka, dla czego to jednak czyni, to może być sprawą jego prywatną, do której ani „Lechowi," ani nam mieszać się nie wolno.

* * *

Wiec w Kamionnie pod Nowem w Prusach królewskich zgromadził dnia 31 grudnia z. r. około 150 członków tamtejszego „Towarzystwa ludowego" i gości. Pan Znaniecki z Kamionek zagaił zebranie, przewodniczył mu p. Michał Cerski. Mowy wygłosili pp. Wojnowski z Kończyc i *Karol Rzepecki z Poznania.* W końcu przemówił jeszcze krótko p. Bieliński z Pelplina. Głównym tematem była „Straż", do której niewątpliwie zapisze się niebawem cała okolica. Kamionna leży w powiecie kwidzyńskim, który niestety jeszcze nie ma starosty.

* * *

Wiec „Straży" w Rosku w powiecie Wieleńskim.

Na wiec stawiło się przeszło 300 osób, a ponieważ sala p. Sory jest nie zbyt wielka, musiało wiele osób z pokoi gościnnych przez drzwi i okna otwarte brać udział w obradach. Nastrój wiecowników był poważny i okazywał wiele zrozumienia sprawy.

Jako starosta zagaił IMC. ks. A. Spychalski o godzinie kwadrans na 4-tą wiec witając gości ze sąsiedniego Czarnkowskiego powiatu, mianowicie ks. radzcę Szaala i pana dra Lniskiego z Czarnkowa, panów Mieczysława Szułdrzyńskiego i Sroczyńskiego, ks. Ludwiczaka z Lubasza i współobywateli powiatu Wieleńskiego, którzy przez tak liczne zebranie się, dali wymowny dowód, że „Straż" i w Wieleńskiem jest potrzebna. Zaleciwszy zebranym, aby z należytą powagą uczestniczyli w obradach wieca, zaproponował ks. starosta na przewodniczącego obrad ks. radzcę Szaala z Czarnkowa, na co się zebrani jednogłośnie zgodzili.

Powoławszy do pióra dra Lniskiego z Czarnkowa i na ławników komisarzy „Straży" na powiat Wieleński udzielił przewodniczący głosu ks. Ludwiczakowi z Lubasza, który obszernie i dobitnie przedstawił cele towarzystwa „Straż."

Następnie potępił energicznie pan Józef Gaertig z Wielenia w treściwej mowie szerzące się pomiędzy polskimi gospodarzami sprzedawczykowstwo zwracając uwagę zebranych na to, że nie tylko ci na potępienie przez społeczeństwo zasługują, którzy ziemię potem ojców zroszoną w obce ręce wydawają, lecz także gospodarze handlarze, którzy swoim sprzedając z jednego gospodarstwa na drugie się przenoszą z chciwości zysków. Poruszył także różne błędy naszego społeczeństwa jak karciarstwo, pijaństwo i pieniactwo przytaczając przykłady odstraszające od tych wybryków i nałogów z własnego doświadczenia.

Na temat swój do swego przemawiał p. budowniczy Sroczyński z Lubasza, kładąc nacisk na to, że nasz ekonomiczny dobrobyt od nas samych zależy, bo od obcych nie możemy się niczego spodziewać. Choćby bowiem jednostki obce chciały z nami na polu ekonomicznem pracować, nie mogą tego uczynić, bo ich spotyka bojkot od

ich współplemieńców. Jesteśmy więc zmuszeni nawoływać się ustawicznie „swój do swego.“

Po wyczerpaniu porządku obrad, zachęcił pan Mieczysław Szułdrzyński w gorących i do przekonania słuchaczów przemawiających słowach zebranych do zapisywania się na kandydatów „Straży.“

Na zapytanie czy z pomiędzy wiecowników chce kto zabrać głos, wystąpił na mównicę pan Brodniewicz z Drawska i w pięknych słowach przedstawił świetność naszej Ojczyzny, podział Polski i naszą obecną walkę z germanizmem zachęcając do oświaty, czytywania gazet i dawania dzieciom naszym polskich elementarzy, aby ducha polskiego w narodzie zachować.

Ks. Ludwiczak ilustrował smutne stósunki w Księstwie pod względem używania różnych trunków dowodząc liczbami statystycznemi, że wydajemy 200 milionów rocznie na trunki.

Ks. radzca Szaal zawezwał wiecowników do miłości Boga i bliźniego, bo tylko na tej podstawie wolno nam się bronić i na tej drodze tylko jest pewne zwycięztwo.

Wreszcie zabrał jeszcze głos robotnik Wawrzyniec Matusz z Roska i w słowach prostych, drgających odczuciem tego co mówił, skarżył się na naszą niedolę, a szczególnie na przykre i trudne nieraz położenie robotnika zwłaszcza na obczyźnie przytaczając na to przykłady z własnego doświadczenia. Kończąc swoje dosyć długie przemówienie, wzywał gorąco braci robotników, aby jak jeden mąż stanęli pod sztandarem „Straży,“ opiekunki Polaków, a mianowicie robotników.

Na zakończenie podziękował ks. starosta wiecownikom za wzorowe zachowanie się podczas obrad, ks. radzcy za przewodniczenie i szanownym mówcom za podjęte trudy dla dobra społecznego okrzykiem: Niech żyją!

Nieobecność swoją na wiecu uniewinnili pan Każmierz Szułdrzyński, starosta na powiat Czarnkowski i pan dr. Kasior z Wielenia.

Na kandydatów „Straży“ zapisało się 136 osób, z dawniej już zapisanymi ma dotychczas powiat Wieleński 419 kandydatów na członków „Straży.“

Z niwy politycznej.

Złożenie adwokata z urzędu. Znany ze swej publicznej i publicystycznej działalności adwokat *Palędzki z Gdańska* został wyrokiem sądu honorowego w Kwidzynie złożony z urzędu. Chodziło o artykuł, który p. Palędzki jako właściciel „Gazety Gdańskiej“ i jako obrońca swego redaktora, zasądzonego za obrazę urzędnika na 6 miesięcy więzienia, napisał jako referat o tym procesie, a także jako obronę przed dotkliwemi przy tej sposobności uwagami prokuratora i przewodniczącego sądu. W tym znów referacie dostrzegły władze nową obrazę i to nie prokuratora ani przewodniczącego sądu, ale powtórzenie obrazy urzędnika, o którą szedł pierwszy proces.

W dalszym ciągu zajęła się sprawą izba adwokacka w Kwidzynie i osądziła, że człowiek, który obraża urzędnika, który mu nic złego nie zrobił, a już raz poprzednio także artykułem obraził kogoś, nie godzien być adwokatem w Prusiech. Lipski sąd honorowy teraz apelacyę p. Palędzkiego odrzucił.

Wiadomość tę podaje „Dziennik Poznański“, poinformowany, jak powiada, z powołanej strony, mającej akta sprawy.

Zatem znowu jedna egzystencya dzięki wyrokowi sądów niemieckich zwichnięta. Mamy nadzieję, że p. adwokat Palędzki dzięki swej znajomości prawa i procedury sądowej rychło znajdzie odpowiednie zajęcie i utrzymanie.

* * *

Policya a spółki. Niedawno temu obiegła prasę naszą wieść, że pewien komisarz zażądał od spółki polskiej spisu członków i różnych innych szczegółów.

Ostatni „Poradnik dla Spółek“ podaje aż trzy wiadomości o nieomal analogicznych wypadkach, jakie się wydarzyły spółkom niemieckim.

W pierwszym wypadku wzywał pewien landrat spółkę do podania mu w przeciągu 24 godzin liczby członków a kiedy go zapytano, jakiem to czyni prawem, odwołał się na prawo o stowarzyszeniach i zebraniach publicznych z r. 1850. Prawo to zagraża w § 13 zarządowi stowarzyszenia karą za to jeżeli w trzech dniach po założeniu nie podaje statutu, spisu członków lub zmian tychże, o ile Towarzystwo już dawniej istniało.

Widocznie landrat ów nie umiał rozróżnić towarzystwa od spółki. Spółki nie są towarzystwami w myśl prawa z marca r. 1850, nie mają nadto na celu spraw publicznych, lecz chodzi im o podniesienie dobrobytu członków, zatem dbają o prywatne, o osobiste interesy.

W drugim wypadku wzięto rewizora spółek na karę za to, iż nie zameldował zebrania zwołanego celem założenia nowej Spółki. Rewizor odwołał się do sądu — powołując się na wyrok kamergerychtu i sądów karnych. — Sąd ławniczy potwierdził karę policyjną za niezameldowanie zebrania. Dopiero Izba karna, do której się rewizor powołał, zwolniła go od wszelkiej kary, nakładając koszta włącznie z wydatkami na adwokata na kasę państwową.

W trzecim znów wypadku zwołano zebranie dla założenia spółki, którego oczywiście nie meldowano. Przy rozpoczęciu obrad stawił się policyant i żądał poświadczenia o zameldowaniu zebrania. Na to przewodniczący zebrania oświadczył, iż zebrania nie było potrzeba zameldować, i zawezwał policyanta do opuszczenia lokalu. — Policyant odszedł ale niebawem powrócił. Pomimo, iż go wezwano do odejścia i że mu zwrócono uwagę, iż to jest najście domu (Hausfriedensbruch) — policyant pozostał, zastawiając się wyraźnym rozkazem przełożonej władzy.

Z tego wszystkiego powstały dwa donosy — przeciwko zwołującemu zebranie o niezameldowanie i przeciwko policyantowi o najście domu. Procesu pierwszego nie przyjęto wcale — a w sprawie najścia domu dała prokuratorya taką odpowiedź:

„Po przeprowadzeniu śledczem nie można przeciwko policyantowi wystąpić, ponieważ nie miał potrzebnej do skarżenia świadomości o nieprawności swego postępowania“.

Wiadomości te dowodzą, że i spółki niemieckie doznają opiekuńczych względów — policyi. Organ niemieckich spółek wydaje odnośnym urzędnikom świadectwa lichej znajomości prawa i przepisów prawnych. My możemy świadectwo to w zupełności potwierdzić i dodać to jeszcze, że dziwno nam to szczególnie ze względu na opinię państwa pruskiego jako policyjnego. Po takiem państwie przecież spodziewać by się należało, że urzędników swoich policyjnych w prawach policyjnych dokładnie — pouczy. Może w przyszłości będzie lepiej.

* * *

W Rosyi nowe prawo wyborcze wydano. Ukaz carski rozszerza udział w wyborach do Dumy i przyznaje je następującym przepisom:

1. Właścicielom nieruchomości, które podlegają opodatkowaniu, jeżeli co najmniej rok są właścicielami.

2. Właścicielom przedsiębiorstw przemysłowych podlegających opodatkowaniu.

3. Osobom płacącym podatek od pomieszkań.

4. Osobom płacącym podatki przemysłowe.

5. Osobom posiadającym własne mieszkanie, zapisane na ich nazwisko.

6. Osobom pobierającym płacę od państwa, ziemstw, gminy lub przedsiębiorstw kolejowych (osoby te mają także prawo w naradach miejskich wyborców).

Robotnicy fabryk, zatrudniających co najmniej 50 robotników, mają prawo wyboru pełnomocnika do zgromadzeń wyborczych. Robotnicy fabryk, zatrudniających 50—1000 robotników, wysyłają jednego pełnomocnika na każdy 1000 robotników. Właściwi wyborcy wybierani są przez pełnomocników.

Pierwsze posiedzenie Dumy może być otwartem, jeżeli senat ogłosi listę, zawierającą conajmniej połowę ogólnej liczby członków Dumy.

Car zarządził przyspieszenie wyborów i polecił ministrowi spraw wewnętrznych wydanie zarządzeń celem najrychlejszego zebrania się Dumy, w którym to celu ma minister wydać osobne instrukcye.

* * *

Pogłoski wojenne. Urzędowy organ szwajcarskiego rządu „Revue do Lausanne“ ogłasza następującą wiadomość:

W przeddzień konferencyi o Marokko, naznaczonej w Algesiras na dzień 15 b. m. oznaki groźne gromadzą się na widnokręgu. Postawa, małobudząca ufność, prasy niemieckiej i mianowanie delegatów tak bezwzględnych, jak pp. Tattenbach i Silvestrelli budzą w nas poważne obawy co do zamiarów Niemiec i ich sprzymierzeńców.

We Francyi wiara w wojnę się upowszechnia: oficerowie nie otrzymują już urlopów, a po obu stronach granicy ruchy wojsk się mnożą.

Telegrafują z Berna, że wojskowi niemieccy, mieszkający w tem mieście, otrzymali już rozporządzenia, konieczne do mobilizacyi. W Bernie samem sztab generalny pracuje bez wypoczynku od tygodnia, aby poczynić wszelkie zarządzenia, konieczne do obrony neutralności Szwajcaryi.

Możnaby jeszcze przypuszczać, że Niemcy próbują poprostu zastraszyć Francyę i w ten sposób przygotować sobie zwycięstwo dyplomatyczne w Algesiras, lecz ta taktyka musi zdenerwować usposobienie ogółu i zbliżając iskrę do beczki z prochem, może skończyć się wybuchem.

Od miesiąca mniej więcej, emisaryusze niemieccy przebiegają Szwajcaryę i kupują konie, przeznaczone dla kawaleryi niemieckiej. Pewną liczbę ich kupiono nawet we Francyi przez pośredników, potem je przeprowadzono do Szwajcaryi, a stąd wyprawiono do Niemiec. Z Genewy donoszą, że wielu oficerów niemieckich, którzy mieszkali w tem mieście, otrzymało właśnie wezwanie mobilizacyjne z poleceniem, aby bez żadnej zwłoki połączyli się ze swoimi korpusami. Podobne rozkazy wydano wielu oficerom armii niemieckiej, którzy się znajdowali w Szwajcaryi niemieckiej.

Niemcy widocznie igrają z ogniem. Przypuszczamy, że w tym wypadku chodzi o zwykły podstęp dyplomatyczny, o zastraszenie przeciwnika, by pod tem wrażeniem wydusić zeń jak najkorzystniejsze warunki. A o Marokko Niemcom snać bardzo chodzi. Jeżeli zeń będą mieli taki pożytek jak z Kamerunu, to — pożal się Boże wszystkich w tym celu zachodów. No, Marokko choć trochę bliżej.

Tydzień polityczny.

Nowy rok rozpoczyna się w Europie — poza Rosyą — pod znakiem *oświadczeń pokojowych.* Już w ostatnich dniach starego roku pojawiła się w prasie niemieckiej wiadomość, że cesarz *Wilhelm* oświadczył się przy pewnej sposobności stanowczo za utrzymaniem pokoju w Europie, że zapewniał uroczyście, iż Niemcy nie mają zaczepnych zamiarów względem żadnego z innych mocarstw. Cesarz dodać miał, że chociażby w Berlinie istniało stronnictwo wojenne, on skruszy jego wpływy i machinacye. Podobne zapewnienie dał książę bawarski *Ludwik.* Wywołało ono natychmiast echo w Londynie i w Paryżu. Król angielski Edward uważał za stósowne również obwieścić światu, że Anglia nie nosi się z zamiarami wojennemi, a taką samą deklaracyą co do *Francyi* dał prezydent gabinetu francuskiego *Rouvier.* Europa mogłaby więc spać spokojnie — lecz rzecz dziwna, że spokoju nie uczuwa. Nikt nie chce, nie pragnie wojny — nikt do niej nie dąży, a jednak, obawy, że wybuchnąć może nie znikają ani nie milkną.

Po długich zwlekaniach i targach, rozpocząć się ma dnia *15 stycznia konferencya marokańska.* Wedle ostatnich doniesień, zebrać się ona ma jednak w *Algeciras,* chociaż przeważna część mocarstw interesowanych, bądź bezwarunkowo, bądź pod pewnymi warunkami, oświadczyła się za Madrytem. Zwyciężył więc w tym wypadku rząd niemiecki, który — jak wiadomo — zgodził się na Madryt tylko pod tym warunkiem, że sułtan marokański nie sprzeciwi się temu. Ale sułtan odrzucił propozycyę, ażeby konferencyę przenieść do Madrytu, skutkiem czego plan ten upadł. Jaki będzie przebieg konferencyi? Pewien dyplomata mocarstwa neutralnego, przebywający chwilowo w Londynie, oświadczył wobec jednego z korespondentów, że na konferencyę nie można zapatrywać się *optymistycznie.* Niemcy i Francya nie zbliżyły się do siebie w takim stopniu, żeby zapewnić powodzenie konferencyi. Chodzi głównie o to, czy Francya ma posiadać w Marokko uprzywilejowane stanowisko, czy też ma tam istnieć rzeczywista kontrola międzynarodowa. Niemcy występują energicznie przeciwko przywilejom Francyi, a sułtan marokański, wedle najnowszych wiadomości, nietylko odrzuca nowe reformy, ale nawet nie chce się zgodzić na dawne. Konferencya nie będzie więc mieć gładkiego przebiegu, owszem, należy spodziewać się ostrych sporów.

Nazajutrz po otwarciu tej konferencyi, bo dnia 16 stycznia odbędzie się we Francyi *wybór nowego prezydenta republiki* na miejsce dotychczasowego, *Emila Loubeta.* Wobec bliskości terminu wyboru, walka pomiędzy kandydatami na fotel prezydyalny, prowadzona jest obecnie z całą forsą. Kandydatów tych jest dwóch, a właściwie nawet trzech: prezydent senatu *Failieres,* prezydent izby deputowanych *Doumer,* a także prezydent gabinetu *Rouvier.* Faktycznie jednak toczy się walka pomiędzy dwoma pierwszymi, bo oni są najpoważniejszymi kandydatami. Według zapewnień z obozu radykalnego, najwięcej szans ma posiadać *Fallieres,* ale i stronnictwa prawicy, które wysunęły kandydaturę Doumera, sprawy nie zasypiają i wszelkich dokładają starań, aby zapewnić zwycięstwo swemu kandydatowi. Między innemi, mają stronnicy Doumera podobno zamiar udaremnić ponowny wybór Fallieresa do senatu, aby w ten sposób utrudnić mu wybór na prezydenta republiki. — Na wieść o tem, zwolennicy Fallieresa zwołali do Agen wiec stronnictwa radykalnego, w celu wysondowania opinii wyborców departamentu Lot-et Garonne, z którego Fallieres przeszedł do senatu, czy może on liczyć na ponowny wybór do senatu. Przebieg wiecu okazał, że 3 powiaty departamentu, a mianowicie: Marmande, Villeneuf i Agen, są za Fallieresem, najważniejsza zaś miejscowość, Nerac, przeciwko niemu. Ponadto wiec radykałów postawił dwie nowe kandydatury: Meillera i Belhomme'a, co do mandatu zaś Fallieresa nie powziął żadnej uchwały. Wybór jego mimoto

jednak jest do pewnego stopnia zapewniony, a jak głoszą zwolennicy i przyjaciele Fallieresa, nawet zupełnie pewny. Rozstrzygnie się to w najbliższych już dniach przy wyborach do senatu, które poprzedzą wybór prezydenta. Czy i wyboru na godność prezydenta może być Fallieres równie pewnym — trudno dziś przesądzać wobec tego, że i Doumer ma za sobą także bardzo silne stronnictwo, które bodaj, czy w chwili obecnej po dokonanym już stanowczo rozdziale Kościoła od państwa, nie zdoła daleko większych pociągnąć mas za sobą, niż stronnictwo radykalnej lewicy.

W *Niemczech* bardzo się obawiają wyboru Doumera. Uchodzi on bowiem za nieprzyjaciela Rzeszy niemieckiej i Niemców.

Ojciec św., Pius X., aby wyjaśnić przyczyny zerwania konkordatu przez *Francyę*, polecił wydać tak zw. *białą księgę*, obejmującą dokumenty, dotyczące tej sprawy. Z dokumentów tych wynika, że rzeczywiście Stolica św. nie dała żadnego powodu do tego kroku rządu francuskiego, że był to akt gwałtu liberałów i radykałów francuskichh.

M. O.

Wobec wypadków w Królestwie Polskiem

pojawił się wśród wszystkich kolonii polskich bardzo sympatyczny objaw — poczucia wspólności narodowej i uczciwej ofiarnej wzajemnej bratniej miłości.

Pamiętamy zapewne wszyscy, jak ochoczo płynęły drobne nawet składki ze wszech stron Polski, Galicya i dzielnice polskie pod Prusakiem godnym pochwały świeciły przykładem. Nie braknie jednakże groszy tych braci naszych, którzy zdala się znajdują od stron rodzinnych — szczególnie w Ameryce.

Nawet w ostatnim czasie nie zapominają zamorscy rodzeni bracia nasi o nędzy, panującej w Królestwie Polskiem. Energiczna ich akcya w tym kierunku zasługuje na szczególną wzmiankę.

Na pierwszem miejscu wymienić tutaj należy miasto *Buffalo*. Odbył się tamże dnia 3 grudnia wielki wiec polski — z amerykańska mityngiem zwany. Wiec ten zwołany został przez osobny komitet, działający pod kierownictwem znanego dra *Fronczaka*. Wiec, według odezwy komitetu, zebrał się po to, ażeby zaprotestować przeciwko gwałtom rosyjskim i polityce rządu pruskiego — wezwać cały ogół polski na wschodzie Stanów Zjednoczonych do niesienia pomocy materyalnej i moralnej Polsce, dopominającej się o swe prawa — odezwać się po bratersku do narodu rosyjskiego, który zarówno z nami walczy o swoje prawa, by w walce tej o przyszłość szedł z nami jak brat a nie jak wróg — wreszcie dowieść całemu światu, że nawet tułacze na obcej ziemi *nie zapomnieli o swej ojczyźnie Polsce i solidaryzują się z walczącymi o wolność braćmi w Europie.*

Skutek wiecu był ten, że uchwalono zbierać składki na głodnych rodaków w Królestwie.

Dobry przykład kolonii polskiej w Buffalo znalazł rychło chętnych naśladowców i w Chicago i Milwaukee, a co najważniejsza w akcyi tej biorą czynny udział poważne także organizacye jak „Związek narodowy polski“ liczący tysiące członków. Zarząd Związku zawezwał wszystkie grupy swoje, by urządzały „mityngi“, uchwalały rezolucye wypracowane przez Zarząd i opodatkowały się na rzecz Królestwa.

Już w kilka dni po wiecu w Buffalo komitet tamtejszy zebrał 1672 dolary; 6500 marek wysłano natychmiast telegraficznie do Warszawy. Polki w Chicago zebrały w tym czasie 800 dolarów, w Milwaukee złożono 700 dolarów, tak że Polonia amerykańska, jeżeli składki tak dalej popłyną, wkrótce pokaźne sumy zbierze dla zakordonowych braci naszych.

I istotnie też potrzeba tych składek jest wielka. Tymczasem *komitet poznański* jakoś zasnął. Od lata nie pojawiła się u nas żadna w tej sprawie odezwa, zapał do składek rychło ostygł. Możeby szczególnie w tym czasie komitet pomyślał ponownie o tej sprawie. Podsuwamy mu myśl, jaka tu i owdzie w patryotycznych kołach poznańskich powstała, mianowicie, ażeby zaniechać wobec niepewnych stosunków w Królestwie zwykłych karnawałowych uciech — a pieniądze przeznaczone na zabawy choć w części przeznaczyć na otarcie łez biedaków, którzy w walce o lepszą dolę narodu naszego utracili mienie lub możność zarobkowania.

Nam myśl ta wydaje się nietylko sympatyczną ale i łatwo wykonalną. Po za wszelkiemi publicznemi zabawami pozostałoby jeszcze szerokie pole do zabaw i godziwych rozrywek w kółkach prywatnych na łonie rodzin itd.

Cel bezwarunkowo — uznania godzien.

Głosy od Przyjaciół.

Hilden pod Dyseldorfem.
(Spóźnione.)

Z Szan. Redakcyą i Czytelnikami „Pracy“ pragnę podzielić się wrażeniami odniesionemi na obchodzie pierwszej rocznicy polsko-katolickiego Tow. św. Jakóba w Hilden.

Po powitaniu członków i gości przez pana przewodniczącego p. J. Fibikowskiego odśpiewano pieśń „Kto się w opiekę“. Następnie zabierali głos przewodniczący Tow. św. Rocha i Polonii z Dyseldoru. Zaledwie drugi mówca skończył, wszedł na salę zaproszony na rocznicę miejscowy ks. proboszcz z Hilden. Zebrani przywitali go przez powstanie z miejsc, a p. Mois z Noisu powitał ks. proboszcza stósownem przemówieniem.

Czcigodny ks. proboszcz dziękował serdecznie za miłe przyjęcie i wygłosił następnie bardzo pouczający i zajmujący wykład z historyi polskiej. Wskazał w nim na naszych sławnych bohaterów i królów, mianowicie na króla Jana Sobieskiego, sławiąc go jako dzielnego rycerza i obrońcę chrześcijaństwa, za co mu też cały świat chrześcijański składał hołdy. Cała Europa byłaby w rękach pogańskich, gdyby nie waleczność króla Sobieskiego, mówił ks. proboszcz, i dlatego należy się narodowi polskiemu wszelki szacunek.

W końcu nawoływał Czcigodny mówca do zgody i jedności, a wywody jego przejęły słuchaczów do głębi. Podziękowano mu też hucznemi oklaskami.

Osobno jeszcze dziękował Wielb. ks. proboszczowi za piękny wykład oparty na dziejach naszych, p. Walenty Chwiałkowski z Dyseldorfu wznosząc w końcu okrzyk na cześć Ojca św. Piusa X.

Po p. Chwiałkowskim przemawiali jeszcze do Rodaków pp. Resler z Geresheimu, Wybraniec z Remscheidt, delegat z Elberfeldu, p. Cyplik z Solingen. Koło śpiewu „Dzwon“ z Geresheimu wystąpiło z śpiewem. Deklamacye stosowne wygłosili p. Michalski, Najdrowski, Resler, Chwiałkowski i córka p. Flisikowskiego. Prócz tego wygłosił pan Ciplik humorystyczny monolog, a p. Resler wystąpił z śpiewem (solo). Świetnie udało się przedstawienie amatorskie. Odegrano zabawną sztukę „Ogolili go bez mydła.“

Po przedstawieniu rozpoczęto polonezem zabawę z tańcami, które przeciągły się aż późno w noc.

W. Ch.

DZIAŁ KOBIECY.

Nie trać nadziei!

„Nie porzucaj nadzieje
„Jakoć się kolwiek dzieje:
„Bo nie już słońce ostatnie zachodzi
„A po złej chwili piękny dzień przychodzi.“

Święte to słowa naszego wieszcza! Na cóż by się zdało żyć, na co walczyć z przeciwnościami, gdybyśmy nadziei nie mieli! Nadzieja dodaje nam sił i odwagi do znoszenia niejednej przykrości, do przetrwania niejednej burzy i niebezpieczeństwa. Nadzieja ukazuje nam w dali słońce i szczęście! Człowiekowi dążącemu do jakiegoś celu daje nadzieja wytrwałość i wzbudza w nim chęć pracy. Przyszłość nieznana jeszcze i z daleka uśmiecha mu się — bo nadzieja opromienia ją! Czy siła młodości nie jest dla tego tak wielką, że nadzieja jej jest jeszcze bogatą i kwitnącą i niezamąconą zawodami i nieszczęściem? Jak dużo ludzi słabych idzie spokojnie na drodze życia! Ożywia ich nadzieja, że kiedyś jednak dojdą do celu, a wziąść im to przekonanie, to stracą wszelką chęć do życia i zginą marnie.

Nadzieję trzeba pochwycić całą duszą i trzymać ją silnie jako nierozłączoną towarzyszkę na wszystkich drogach — bo ona potrafi cuda działać! Jest to potęga, jakiej drugiej nie ma wcale, gdzie ona żyje i kwitnie, gdzie zapuściła korzenie, tam jej żadna burza nie wyrwie, tam jej nic nie złamie i nie zniszczy!

Gdy ciemne chmury gromadzą się nad głową naszą, wtedy odzywa się w sercu mimowoli nadzieja i tęsknota za nią. I szczęśliwy ten, kto w nieszczęściu nadziei nie traci, jest ona bowiem zwiastunem lepszej doli. „Będzie dobre gdy złe minie“ — takiem jest prawo natury — po ostrej zimie tem milsza następuje wiosna. I każda mozolna praca musi osiągnąć cel, jeżeli jej nie zaniechamy, i jeżeli wytrwamy, nie tracąc nadziei powodzenia?

Wszystko na świecie przemija — to, co uważaliśmy za naszą wyłączną własność, wysuwa nam się nagle z rąk i ztąd powstawają dla nas rozliczne przykrości i troski. I niejeden uległ by im, gdyby nie nadzieja zwalczenia przeciwności! Starzy ludzie mówią, że to, co im niegdyś niebezpiecznem i prawie niemożliwem do zniesienia było, dziś im się łatwem i lekkiem wydaje — ale minęło szczęśliwie i zostało tylko wspomnienie, które wywarło może nawet wpływ dobroczynny i uszlachetniający na ich charakter.

Szczęśliwy ten, kto sobie kiedyś powiedzieć może: „nie ulękłem się złego i nie ustąpiłem z pola walki bez zwycięztwa.“ Przykład taki jest wzniosłym i dodaje nam otuchy. Siły nasze rosną w miarę niebezpieczeństwa, bo nadzieja towarzyszy nam na każdym kroku, nadzieja i wiara w zwycięztwo!

„Siła Bóg może wywrócić w godzinie,
A kto mu kolwiek ufa, nie zaginie!“

Empa.

Panowanie nad sobą.

—Nasze czyny, czy złe czy dobre, to cienie, które idą za nami.

— Więc dla tego samego już powinniśmy umieć panować nad sobą. Czy to tak trudno?

— Jak kto rozumie. Głównem złem jest to, że znamy bardzo mało nasze własne „ja“ i że nie lubimy się przyznawać do błędów i tak zwanych „słabych stron“. Powtóre trudno jest pohamować temperament i przytłumić lub wykorzenić wady i złe nawyknienia. Walka z niemi zwykle jest ciężką. Po trzecie, nie uważamy za potrzebne nakładać na siebie, w domu mianowicie, jakiegoś przymusu i panowaniem nad sobą dawać dobry przykład całemu otoczeniu. W towarzystwach trzeba już dosyć na siebie uważać, po co więc w domu jeszcze zachowywać jakieś formy? Tak niestety myśli niejedna z nas i ciężką sama sobie wyrządza tem krzywdę.“

„Czemu?“

„Ah, czy to przyjemnie patrzeć na to, jak inni cierpią z powodu naszych kaprysów lub naszej gwałtowności? Ile tyraństwa ukrywa się pod wymówką „nerwowości“ lub owego nieznośnego „ja za to nie mogę!“ Wszystko to jest brakiem umiejętności panowania nad sobą i staje się nieraz powodem zakłócenia spokoju i szczęścia domowego.

„Czemu zawsze my kobiety mamy panować nad sobą, czemu nie żądasz tego i od mężczyzn?“

„Owszem, żądam od mężczyzn zupełnie tego samego, ale chwilowo mówimy o nas. I czemu kobieta nie ma być dobrym przykładem dla mężczyzny? Wiem, że niemożliwem jest usunąć z życia gniew i rozdrażnienia, ale do pewnego stopnia można wszystko ograniczyć i skutki gniewnego uniesienia złagodzić — panowaniem nad sobą. Nagana, udzielona komuś spokojnie, lecz stanowczo i energicznie, więcej może poskutkuje, niż gwałtowne krzyki, hałasy, wyrzuty i mnóstwo niepotrzebnych słów.

Ludzie gwałtownego usposobienia nie wywrą nigdy wrażenia ludzi dobrze wychowanych. Można ich się obawiać, można być w ich obecności nieśmiałym, ale szacunku nie wiele się dla nich ma, i wybuchy ich złości spowszednieją z czasem i — pośmieszają ich.“

„Dla tego też panowanie nad sobą niepospolitą jest umiejętnością, trudną, ale konieczną, mianowicie dla matki, wychowującej dzieci. W obec dzieci nie powinna matka nigdy unosić się gniewem i w gniewie karać je, bo wtedy staje się niesprawiedliwą i zbyt surową.“

„Wszystko to brzmi ładnie w teoryi, lecz w praktyce jest niewykonalne! Jak dzieci są niegrzeczne i zasłużą na ukaranie, to ja mam czekać i po godzinie dopiero, gdy dawno już o tem zapomniałam, zabrać się do karania ich?“

„Nie potrzebujesz czekać godziny, bo tak długiego czasu nie potrzebujesz chyba na ochłonięcie z gniewu! Poczekaj kilka minut — widzisz, to jest właśnie owa umiejętność panowania nad sobą! A wracając raz jeszcze do wybuchów złości — jak okropne musi to na dzieciach wywierać wrażenie, gdy rodzice w obec siebie nawzajem nie umieją nad sobą zapanować! Co dzieci wtedy myślą o powadze rodzicielskiej, nie trudno odgadnąć, w każdym razie korzystniej jest dla rodziców, nie kłócić się w obec dzieci!“

„Wszystko teorya, moja droga, — wszystko teorya...“ *Oska.*

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 Mk.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 Mk. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

SZPIEG.

OBRAZEK NARYSOWANY Z NATURY

przez

B. BOLESŁAWITĘ.

8)

(Ciąg dalszy.)

Po pierwszej chwili przerażenia nastąpiły rady i rozmysły jakby się jeszcze ratować. — Sala miała z obu stron okna dosyć wysokie, ale niemi wkrótce się też Moskale do wnętrza dostać mogli; pod jednemi widać już było przesuwające się bagnety. Pułkownik badając pozycyą, wdrapał się z drugiej strony na przymurek, aby zobaczyć czy się tamtędy wymknąć nie będzie można. Na nieszczęście i tu stało wojsko i policya. We drzwi walono coraz mocniej a co chwila oknami można się było tych gości spodziewać. Nim się jednak salę dobywać rozmyślili z tej strony ktoś z młodzieży dostrzegł w głębi refektarza zamurowane w jedną cegłę drzwiczki, ale nikt nie mógł powiedzieć dokąd one wychodziły. Być bardzo mogło iż i po za niemi stali żołnierze, ale równie też spodziewać się godziło że z tej strony mogło być nieosadzone przejście.

Gdy Moskale szturmują do drzwi, pułkownik zakomenderował aby kołem żelaznem, które się pod ręką znalazło próbować wybić dziurę w murze. Na tę ostatnią nadzieję ratunku skupiły się wszystkie siły; zaczęli tłuc, parę cegieł wypadło i chłodny wiatr powiał od pola. Za otworem nie widać było moskiewskich żołnierzy. Drzwi te za dawnych czasów prowadziły do korytarzy później obalonych; Moskale widząc goły mur bez drzwi i okien nie widzieli potrzeby, ubezpieczyć go strażą. Nadzieja wstąpiła w serca wszystkich. Cegły sypały się z obu stron otworu, który się coraz powiększał, ale tuż i żołnierze nie mogąc drzwi wyłamać, wstrząsać zaczęli oknami. Komuś na myśl przyszło pogasić światła i wszystkiemi siły starać się wyłom w murze rozszerzyć. Z biedy można się już było nim przecisnąć. Ale w chwili gdy uznano możność ucieczki wszyscy się wstrzymali chcąc naprzód ocalić pułkownika. Skryty w ciemnościach ani chciał o tem słyszeć i krzyknął tylko głośno:

— Do sto tysięcy fur batalionów dyabłów! mazgaje jakieś, korzystajcież z Bożej łaski, słowo żołnierskie, że inaczej nie wyjdę jak na ostatku. — Wy młodzi potrzebniejsi jeszcze jesteście ojczyźnie, od starego jak ja trutnia, jam tu was wprowadził i jak kapitan z rozbitego okrętu ostatni wyjdę lub zginę....

Jeden czy dwóch z wielką biedą wydostało się przez otwór, gdy Moskale wpadli do sali a razem z nimi policyanci z latarkami; postrzegłszy ów otwór zaraz go równie jak drzwi i okna opanowali.

Nie było tam ani narzekania, ani jęku, ani upadlających próśb, które tych katów zmiękczyćby nie mogły. Głuche tylko milczenie przerywane ich naigrawaniem, przekleństwy i głuchemi razami. Niekiedy krzyk wydobył się z piersi jakby przechodzącą siły boleścią wydobyty, ale umilkł natychmiast poskromiony męzkiem wytrwaniem.

Moskale bijąc i znęcając się wydobywali młodzież ze wszystkich zakątków sali. Pułkownik stał wzięty między cztery bagnety ze spuszczoną głową i jakby zobojętniały. Trudno opisać radość oprawców, gdy ujrzeli tyle ofiar w swoim ręku, ale dowodzący tej wyprawie oficer policyjny, który się innego połowu spodziewał, klął po moskiewsku, widząc, że to nie byli wcale naczelnicy spisku ale chłopcy młodzi, na których policya miała tysiące sposobów ujęcia ich w swe szpony. Pułkownika oddzielono jako najważniejszego z więźniów, wsadzono do dorożki i powieziono przodem, gdy resztę bocznemi uliczkami popędzono do cytadeli.

Żona Preslera była jedną z tych nieszczęśliwych kobiet, które tylko miłość macierzyńska trzyma jeszcze przy życiu; niegdyś bardzo piękna, czego jeszcze ślady na jej twarzy pozostały, niegdyś szczęśliwsza, powoli przyszła do tego stopnia niedoli, w której człowiek na pół drętwieje, budziła się z tego snu tylko aby cierpieć przyszłością syna, dolą córki, obawą o tego męża, dla którego miała tylko pogardę i obrzydzenie. Całe dnie spędzała przy pracy zadumana, wijąc ten kłębek myśli szarych który przędzie nieszczęście; ręce jej machinalnie zajmowały się robotą a w głowie marzyły się ciągle, ciągle jedne obrazy przyszłych nieszczęść, które się jej zdawały nieuniknionemi. Widziała męża to ze stryczkiem na szyi, to z piersią przybitą, córkę swą zamiatającą błoto uliczne, syna z zakrwawioną skronią, żółtym gdzieś na bezdrożu przysypanego piaskiem. Nie umiała się modlić ale gdy boleść bardzo jej serce ucisnęła, płakała. Płacz to był cichy, prawie spokojny, spadający wielkiemi kroplami, po którym było lżej na sercu, i znowu powracało to odrętwienie które zwykłym jej było stanem. W niem pełniła ona machinalnie wszystkie powszednie życia obowiązki myślą będąc gdzieindziej; podobna do chodzącego posągu bez mowy i czucia. Tylko kroki wracającego do domu Juliana i świeży wesoły głos wstrząsnęły nią i rozbudzały — wracało słowo na usta, czasem uśmiech nawet. Na chwilę stawała się dlań czułą i łagodną istotą, tak jak widok męża obudzał w niej prawie szał i wściekłość. Obojętniejszą nieco była dla córki chociaż ją także kochała, ale w duszy miała to dziecię zawczasu za stracone, gdy Juliana spodziewała się ocalić i dla tego przywiązywała się doń mocniej. Było to jedno z tych dziwactw serca niewytłumaczonych, które się często spotykają po świecie; czasem do słabszej, czasem do silniejszej istoty czujemy się pociągnieni nieumiejąc wytłómaczyć co nas z nią tajemniczo wiąże. Tego wieczora jak zawsze Preslerowa siedziała przy świecy u roboty, a Rózia obok niej także z igłą w ręku, gdy Julian wbiegł odnosząc klucz od swego pokoju i wszedł do izby pożegnać się z matką.

— Dla czegoż klucz odnosisz? spytała go, czy nie myślisz dziś powrócić?

— Bardzo być może, odpowiedział uśmiechając się, że jeśli się opóźnię to u którego z kolegów przenocuję.

— Wolałabym żebyś wracał do domu, odezwała się matka. Teraz czas taki niespokojny, możesz gdzie w podejrzanem miejscu nocować, zabiorą cię z innymi...

— Moja matuniu, rzekł chłopak po cichu, kiedy drudzy cierpią, albom to ja co lepszego od nich, żebym się miał tak bardzo szanować i ukrywać... co tamtym to i mnie..

— O! nie mówże mi tego.

Chłopak zamilkł, spuścił głowę, pocałował matkę w rękę, siostrę w czoło i z wesołą poszedł piosenką. Słychać go było długo na wschodach nucącego: „Boże coś Polskę,“ pieśń, którą wówczas wszyscy nieustannie powtarzali, która mimowolnie przychodziła na usta każdemu.

Za nim poczęła ją po cichu śpiewać Rózia, a matce słuchając, po chwili łzy popłynęły rzęsiste. Córka postrzegłszy je zamilkła. —

W tem milczeniu przerywanem westchnieniami długi nieznośnie wieczór upłynął, nareszcie Rózi kazała kłaść się matka, a sama nie mogąc spać i nie chcąc tracić czasu zasiadła do innej roboty, czekając na męża. Sama myśl jego powrotu i obraz tego człowieka, który zawsze opiły przywlekał się aby swym oddechem zatruwać powietrze tego kąta cichego, — nabawiał ją strachem, obrzydzeniem i dreszczem.

Północ już była wybiła na miejskich zegarach, gdy powolny, ciężki chód dał się słyszeć na wschodach. Preslerowa która tyle razy czuwając oczekiwała męża i syna i umiała rozpoznać ich kroki, wiedziała że to nie był Julian, który zwykle biegł żywo, cicho, z tą zgrabnością młodzieńczą, która zdaje się nie tykając ziemi, być raczej lotem niż biegiem. Presler stary po pijanemu bił się w tych ciemnych wschodach dobrze sobie znajomych, przekleństwami sypiąc po drodze. Tą razą był to chód opieszały, wolny, ciężki, przytomnego człowieka, który idąc się ociąga, jakby się do celu dojść obawiał.

Zdziwiła się kobieta, gdy te kroki tak niepodobne do zwykłego chodu jej męża zbliżyły się do drzwi i Presler wszedł powoli w czapce na oczy nasuniętej, blady i milczący. Miał on fizyonomią człowieka, który z zimną krwią popełnił wielką zbrodnię i łamał się pod jej ciężarem, napróżno udając spokojność. Spojrzawszy nań żona, prze-

raziła się gorzej niż gdyby był jak zwykle pijanym, oczy jego stojące słupem, usta wykrzywione, dziwnie płaczliwy uśmiech który po nich igrał, głębokie przytem marszczki na czole i drzenie konwulsyjne policzków nie mogły ujść oka biednej Preslerowej. Porucznik postąpiwszy kilka kroków padł na krzesło, zwiesił głowę no piersi i dobywszy zwitek papierowych pieniędzy drżącą ręką rzucił go na stół wołając głosem ochrypłym:

— Kobieto weź to dla Juliana!

Ale żona, która w każdym innym razie byłaby skwapliwie pochwyciła ten zasiłek tak pożądany, przyjrzawszy się twarzy męża, nie miała odwagi go dotknąć. Oblicze tego człowieka mówiło tak dobitnie o popełnionym występku, pieniądz zarobiony tak wyraźnie o nim poświadczał, że się łudzić nie było podobna. Nieszczęśliwa przystąpiła doń zwolna, wlepiła weń swe czarne wypłakane oczy i zapytała po cichu:

— Coś ty zrobił?

— Nic, odparł Presler.

— Jakto nic! Cały się trzęsiesz.

— Jestem na czczo, rzekł Presler z dzikim uśmiechem. — Dajcie mi co! dajcie mi co! Te wyrazy głucho z obłąkaniem prawie wymówione mrozem przeszły kobietę, rzuciła się na pieniądze, aby z ich ilości powziąć jakiś domysł o wypadku. Było tam nędznych dwieście złotych w poszarpanych papierkach, kwota dość znaczna jak dla Preslera, przecież niezwiastująca żadnej nadzwyczajnej zbrodni.

* * *

Presler, który przed chwilą żądał aby mu się coś napić dano, już był o tem zapomniał. Siedział z oczyma wlepionemi w podłogę, a po ustach jego igrał złowrogi uśmiech poprzedzający zwykle obłąkanie. Był tak różny od siebie, tak przybity, że się nad nim nawet żona ulitowała.

— No cóż ci tam jest? Co ci takiego, czyś chory?

— Ale nic! nic! nic! krzyknął gwałtownie Presler, bijąc pięścią o stół. Kiedy mówię, że nic, to nic!

Potem wstał i mrucząc przechadzać się począł. Kobieta odstąpiła lękliwie, siadła na swem miejscu i w milczeniu zatopiona zajęła się dalej robotą. Presler chodził a chodził, tarł ręką po czole, szarpał na sobie odzienie, a niekiedy z przymusem niby coś nucić próbował. Pora do snu dawno minęła, ale ani Preslerowa, ani on nie myśleli o spoczynku; ona trochę jeszcze oczekiwała na syna, on sam nie wiedział co się z nim działo, ale zasnąćby był nie mógł.

Około pierwszej ktoś zaczął stukać do bramy. Kamienica mieściła w sobie bardzo wielu lokatorów; trafiało się często, że ktoś z nich póżno powracał, hałas u ubramy nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, przecież słysząc go wstrząsnęli się jakiemś przeczuciem oboje. Po chwili, ostrożne i nieśmiałe kroki na wschodach słyszeć się dały, a gdy się do drzwi zbliżyły Preslerowa spiesząc naprzeciw wybiegła. Równocześnie prawie otworzyły się one powoli i na progu ukazał się młody człowiek, którego matka często z Julianem widywała, blady, w oszarpanem trochę odzieniu,, zmęczony. Na widok matki zmięszał się jeszcze bardziej i zaczął niby pytać o Juliana, ale wzrokiem szukał z daleka przechodzącego się ojca. Po jego twarzy, zalęknieniu poznać było można, że nie przychodził darmo. Dowiedziawszy się jednak od matki, że Juliana nie było chciał się cofnąć gdy porucznik machinalnie zbliżył się do niego Chwytając chwilę kiedy matka zdawała się obróconą gdzieindziej młody człowiek dał znak Preslerowi, że chciałby mu coś na osobności powiedzieć. Ale w chwili gdy ten ruch uczynił oczy kobiety pochwyciły go, serce zadrżało, domyśliła się już jakiegoś nieszczęścia, które przed nią ukryć chciano, i porwała młodzieńca za rękę ciągnąc go za sobą na środek izby.

— Na Boga! człowiecze, krzyknęła, mów, zaklinam cię, mów, ty coś wiesz! o Julianie, chcesz coś przedemną utaić, dawałeś znaki jemu! jam matka, jam pierwsza o wszystkiem wiedzieć powinna, ja cię nie puszczę póki mi nie powiesz.

Młody człowiek zawahał się, na widok tej boleści, łzy mu z oczów pociekły. Presler stał osłupiony, tylko wargi i twarz konwulsyjnemi ruchy mu drżały.

Była to chwila strasznego milczenia.

— Nieszczęście! nieszczęście! rzekł nareszcie młody człowiek, słabym drżącym głosem.

Cóż się stało, cóż się stało? Nie zabity? krzyknęła matka.

— Nie. Ale jest schwycony, odpowiedział przybyły, razem z wielu innymi — ja sam nie wiem jakim się cudem ztamtąd uratowałem. Byliśmy zebrani w jednej fabryce dla mustry, było nas tam kilkudziesięciu, miejsce zdawało się pewne, podły jakiś *szpieg* denuncyować nas musiał. Dwóch czy trzech uciekło wyłomem w ścianie zrobionym, reszta dostała się w ręce Moskali.... Julian z nimi....

Jeszcze nie dokończył opowiadania gdy Presler ryknął jakimś dziwnym głosem, rzucił się, potem zerwał, biegał jak szalony i natychmiast chwyciwszy kapelusz nieobejrzawszy się nawet na nikogo pędem z domu wyleciał.

Nieszczęśliwej matce więcej niż przeczucie, prawie pewność wskazała zabójcę syna — był nim własny jego ojciec.

* * *

Pan naczelnik spoczywał na łonie rodziny i w paradnym tureckim szlafroku, z cygarem hawańskim w ustach zapijał wonny czaj, którym go kupiec ruski jego przyjaciel obdarzył, gdy służący dał mu wiedzieć, że od zarania jakiś bardzo niepoczesny człowiek dopraszał się gwałtownie posłuchania.

Że to była godzina rodzinnego życia rozkoszom poświęcona, w której radca lubił być swobodnym, i nikogo zwykle nie przyjmował, mocno go oburzyła ta śmiałość jakiegoś obdartusa i kazał go wypchnąć za drzwi.

Pan naczelnik, który wąchał przez jakiś czas petersburskie błoto, przywiózł zeń wszystkie obyczaje i narowy moskiewskich czynowników. W salonie wieczorem był to bardzo miły, słodki i nieco sentymentalny człowiek. Wziąć go było można za sielankową istotę ucywilizowaną, trochę epikurejskich nałogów, ale wcale dobrą i niestraszną, za sybarytę lubiącego się bawić, dobrze zjeść, smaczno się napić i starającego unikać kłopotów. Ale pod tą pokrywką człowieka słabego, zniewieściałego i łagodnego przez miłość własną, krył się zwierz zimno drapieżny, któremu największe podłości i okrucieństwa nic nie kosztowały. Całe jego życie obrachowane było na zyski i korzyści materyalne, gdzie nie można było wziąć pieniędzy, tam się zręcznie wyłudzało prezenta. Wygodnie ów i wytwornie urządzony gabinet, w którym pan naczelnik odpoczywać raczył, cały się składał z darów przez przyjaciół i klejnotów z powodu różnych interesów złożonych. Meble wprawdzie były kupione, ale nie całkiem zapłacone i stolarz się o resztę upominać nie śmiał; cygaro, które palił było darem jakiegoś przemytnika, herbata, którą pił ofiarą kupca, szlafrok zapłatą za małe szelmostwo, biórko prezentem nieszczęśliwego rzemieślnika, a drobne fraszki okrywające je pamiątkami różnych usług oddanych niby bezpłatnie. Żona jego chodziła w darowanej salopie i wyszachrowanym szalu. W domu tym dziwiono się niezmiernie gdy jaki zuchwalec przyszedł się upomnieć o pieniądze, całe społeczeństwo powinno się było składać na wygody dostojnego urzędnika, który tak troskliwie czuwał nad jego spokojem.

Po wydanym rozkazie wypędzenia natręta hałas dał się słyszeć u drzwi, potem jakieś szamotanie i w wypartych siłą podwojach ukazał się naprzód blady Presler, potem służący, który go niemiłosiernie w tył za kołnierz odciągał. Porucznik tak się silnie opierał, że zostawiwszy kawał oddartej sukni w rękach lokaja, wpadł do pokoju i prosto rzucił się do nóg naczelnikowi, który się mocno przestraszył. Ale poznawszy Preslera i widząc go tak poruszonym dał znak służącemu, aby odszedł.

— Trutniu jakiś! zawołał, czego ty mi tu włazisz? Wiesz, że zakazano jest jak najsrożej przychodzić do mnie do domu, jak ty śmiesz się tu pokazywać? Co cię tu u licha przyniosło?

Porucznik miał minę zupełnie obłąkaną, trząsł się, chwytał go za nogi, płakał, mówić nie mógł.

— Zwaryował łajdak, czy co! krzyknął naczelnik.

— Syn! syn! mój! Panie ratuj mi syna! wzięli mi jedynaka, róbcie ze mną co chcecie, wyślijcie mnie na Sybir, do kopalni, zetnijcie mi głowę, ale syna uwolnijcie!

— Co ty pleciesz? gdzie? jaki syn?

— Syn! syn wczoraj — tam — tam gdzie ja naprowadziłem, między tymi co ich wczoraj wzięto, mój własny syn! Ja go muszę mieć, wy mi go musicie uwolnić. Panie! zedrzyjcie ze mnie skórę, wart jestem piekła i najstraszniejszych męczarni, ja własnego zgubiłem syna!!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

12) (Ciąg dalszy.)

— Czemu wziąłeś twoje najlepsze ubranie? Dokąd chcesz iść?

— Do Alfonsa! Muszę go o coś zapytać.

— Ale nie zabieraj ze sobą wszystkich twych pieniędzy, mógłbyś je zgubić po drodze, — upominała go pani Martin. Przypominała sobie bowiem, że Lola dała mu wczoraj sto franków.

Robert w jasno popielatem ubraniu i małym zgrabnym kapeluszu wyglądał teraz zupełnie inaczej, jak wczoraj.

— Nie myśl matko, — rzekł szorstko, — że wydam mój skarb na karmelki!

Potem jednak uściskał matkę, i wsunąwszy pieniądze do kieszeni, poszedł na ulicę Bergere.

W mieszkaniu Loli zastał już Alfonsa — narzeczeni siedzieli przy stole i palili drogie papierosy.

— Po co tu przychodzisz tak wcześnie, malcze? — zawołał Alfons.

— Przedewszystkiem zamknij dobrze drzwi, — odrzekł Robert, — a potem powiedz mi, gdzie mieszka panna Garrel?

— U notaryusza Nivela przy ulicy Navarin 42. — odrzekła Lola.

— Dobrze. A teraz o czem innem. Zrozumieliście to, co wczoraj mówiłem?

— Zdaje mi się, że tak, — zawołał Alfons. — Że moglibyśmy dostać te miliony, ale panna Garrel musi umrzeć... Nas nie ma nikt podejrzywać o popełnienie zbrodni!

— Tak jest. I gdzie mam cię szukać, gdy mi będziesz potrzebny? Tutaj?

— Nie, Lola wyprowadzi się ztąd jutro i wynajmie mieszkanie w porządniejszym domu. Tu zbyt często zagląda policya. Dziś na wieczór przyjdziemy do matki, Lola da wam swój adres.

— A ty?

— Ja mieszkam, gdzie się trafi!

— Jak wygląda panna Garrel? Nie chciałbym popełnić jakiej omyłki!

— Moja siostra, — rzekla Lola, — jest bardzo piękna! Wysoka, szczupła, jasna blondynka o szafirowych oczach, wytworna, prawdziwa arystokratka.....

— Ba, taki opis można zastósować do tysiąca panien! Przedewszystkiem muszę się przekonać, czy mieszka jeszcze u tego notaryusza. Bywajcie zdrowi!

Robert wybiegł z pokoju Loli i udał się najpierw na ulicę Navarin. Tutaj stanął przed domem pana Nivela, rozmyślając nad tem, w jaki sposób dowie się o miejscu pobytu Nory, gdy dziwny przypadek przyszedł mu w pomoc. Listonosz zbliżył się do odźwiernego, podał mu dwa listy i rzekł głośno:

— Dla hrabianki Garrel!

— Dobrze. Hrabianka jest w domu, — odparł odźwierny, — zaniosę jej zaraz listy!

Robert aż podskoczył z radości. Ale gdy spojrzał na ogromną, wspaniałą kamienicę, zachmurzył się nieco — poznał bowiem, że zamiar jego nie jest tak łatwym do wykonania, jak to z początku sądził.

— Nie ma tu co robić, — pomyślał, — za wiele ludzi w tym domu! Muszę się dowiedzieć, czy ona wychodzi sama i dokąd się udaje. Ale kogo o to zapytać? Odźwiernego — nie, to rzecz niebezpieczna, a czekać na ulicy nie mogę, podpadłoby to sąsiadom!

Nagle uśmiechnął się, a oczy jego błysnęły radością. Z drugiej strony ulicy zbliżał się młody, piętnastoletni może chłopiec, w liberyi, z dużą skórzaną torbą w ręku.

Robert podbiegł natychmiast ku niemu, ukłonił się grzecznie i rzekł:

— Pan zapewne pracujesz u pana notaryusza Nivela?

— Tak jest!

— Chciałbym o coś zapytać.....

— Proszę bardzo!

— Wszakże pan Nivel wydaje za mąż swoją wychowankę......

— Tak!

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Czy dzień ślubu już wyznaczony? Bo ja służę u pewnego dorożkarza, który ma kilka powozów do wynajęcia, jeżeli więc będę mu się mógł wystarać o jakiś zarobek, to dostanę kilka franków na wino. Ślub będzie pewnie bardzo świetny!

— Naturalnie! Hrabianka Garrel idzie za hrabiego Noirville — za cztery tygodnie wesele.

— Dziękuję panu za te wiadomości! Hrabianka Garrel jest pewnie bardzo piękna?

— Ach, śliczna! Widziałem ją dziś, gdy wracała do domu.

— To ona wychodzi sama?

— O nie, nigdy, zawsze tylko z panią lub panem Nivel.

W tejże chwili wybiegła z bocznej bramy młoda dziewczyna, w białym fartuszku i czepeczku i o mało nie wpadła na młodego pisarka.

— Ach to ty, Piotruś — zawołała — przepraszam! Uderzyłam cię?

— Nie, nie!

— Wiesz co, mógłbyś sobie zarobić kilka groszy, chcesz?

— O, bardzo chętnie! Co mam więc zrobić?

— Iść do pana Davida, aby przysłał dorożkę na godzinę dziesiątą. Panna Nora odjeżdża do klasztoru, do Saint-Maur-les-Fosses. Powiedz, że będą dwa kufry!

Piotr pobiegł czemprędzej do wypożyczalni powozów, a służąca wróciła do domu.

Robert oddalił się także, na razie nie miał tu czego szukać. Ale był bardzo zadowolony z swej pierwszej wyprawy.

— Więc ona jedzie do klasztoru, — mówił sobie w duszy, — i zostanie tam dłuższy czas, bo zabiera dwa kufry. Doskonale! Tam łatwiej będzie ją można dostać niż tu w Paryżu. Wszystko dobrze się składa, miliony nasze!

Skręcając na sąsiednią ulicę stanął i czekał aż do dziesiątej, aby zobaczyć numer dorożki, którą Nora miała odjeżdżać. I z uderzeniem zegara spostrzegł powóz, jadący przed dom notaryusza. Powóz ten miał numer 1570.

Teraz nie czekał dłużej. Zwrócił się natychmiast na najbliższy plac Breda i wynajął sobie równie dorożkę, aby pojechać na dworzec w Vincennes. Robert był na swój sposób chłopcem, chciwym wiedzy, to też znał się trochę na koniach i umiał je zaprządz zupełnie dokładnie.

W sklepie, sąsiadującym z sklepem jego matki, przebywało zawsze dużo dorożkarzy — siedział więc tam z nimi, rozmawiał, bawił ich, a przytem uważał, jak się z końmi trzeba obchodzić, i jak poznawać ich błędy i przymioty.

Na dworzec przybył prawie równocześnie z Norą, której towarzyszył pan Nivel.

— Aha, to notaryusz, — szepnął Robert. — Byleby i on nie pozostał w Saint-Maur-les-Fosses!

Byłoby to fatalnie!

Ale gdy szedł za nim do kasy usłyszał, że pan Nivel zażądał dwa bilety, z których jeden miał być tylko dzienny.

ROZDZIAŁ 11.

— Bardzo dobrze, — myślał młody zbrodniarz, — widać, że ten stary wraca do Paryża, a panna Garrel zostanie w klasztorze!

Pan Nivel odszedł od kasy, na jego miejscu zaś stanął Robert i zażądał także dziennego biletu drugiej klasy. Potem wyszedł spiesznie na peron i ujrzał właśnie wsiadającego notaryusza z Norą do klasy pierwszej.

Głównem jego zadaniem teraz było przyjrzeć się dokładnie Norze, aby ją zawsze i wszędzie łatwo mógł poznać.

— Lola ma słuszność, —rzekł sobie w duszy, — to śliczna dziewczyna! Ale dla tego nie potrzebuje zabierać nam milionów!

Przybywszy do Saint-Maur zauważył, że pan Nivel i Nora udali się wprost do klasztoru, postanowił się zatem dowiedzieć, kiedy notaryusz znowu odjedzie, ale w tej miejscowości, niebardzo ludnej, nie chciał się zanadto pokazywać, każda bowiem obca osoba zanadto podpada. Przytem uczuł teraz głód niezmierny i poszedł do pierwszej lepszej restauracyi, aby się trochę pokrzepić. Usiadłszy przy stole, kazał sobie podać chleba, mięsa i wina, ale jedząc nawet, nie spuszczał oczu z bramy klasztornej. I nie wiedział, że oprócz niego jeszcze ktoś inny obserwuje

uważnie ową bramę, i że tym innym był hr. Noirville. Gaston przyjechał tu już najrychlejszym pociągiem, obejrzał dokładnie klasztor i z zadowoleniem zauważył, że gmach ten i ogród grubym i wysokim otoczone były murem, i że tylko jedna znajdowała się brama.

Ciekawy, czy Nora rzeczywiście pozostanie w klasztorze, udał się także do owej restauracyi i śledził pilnie każdego, kto się do bramy zbliżał. Podejrzywał bowiem zawsze jeszcze Norę, że zobaczy tu doktora Darby, i myśl o tym rywalu doprowadzała go do wściekłości.

Ale około południa widział Norę wchodzącą do klasztoru w towarzystwie opiekuna, który zaraz potem wyszedł, głęboko zamyślony i widocznie niespokojny. W rzeczywistości zaś był on tylko zły na Norę, że dla jej kaprysu nie mógł zjeść dobrego śniadania w Paryżu, i chcąc chociaż byle czem zaspokoić głód, wszedł także do tej samej restauracyi, w której znajdowali się Gaston i Robert.

ROZDZIAŁ 12.

Na widok Gastona cofnął się notaryusz mimowoli.

— Co, pan tutaj? — zawołał zdumiony.

— Tak, to ja, — odrzekł Gaston z ironicznym uśmiechem.

— Co pan tu robisz?

— Obserwuję moją przyszłą żonę.

Pan Nivel zmarszczył czoło.

— Dlaczego? — zapytał ostro.

— Przyznaję, — odrzekł Gaston, — że to jest z mej strony wielką niedorzecznością, ale od wczoraj myślę ciągle o tem, dla czego Nora chce pozostać aż do dnia ślubu w klasztorze?

— Kaprysy młodej dziewczyny! Pragnie spokoju i ciszy!

— Tak jest, ale ona poznała tu tego doktora Darby!

— I cóż ztąd? Wiesz pan sam przecież, że na małżeństwo jej z nim nie mogę się zgodzić, a zresztą znam Norę zbyt dobrze, aby się obawiać o nią! Prosiłem też Matki Przełożonej o troskliwą nad nią opiekę, i myślę, że możemy być spokojni.

— Ale ja nie dowierzam temu doktorowi!

— Pomówimy o tem później, — rzekł notaryusz niechętnie. — A teraz o czem innem. Cieszę się, że pana tu widzę — mam bowiem polecenie od Nory do pana, ale najpierw muszę cośkolwiek zjeść, bo umieram z głodu.

Robert posunął się nieznacznie tak, że mógł dokładnie słyszeć całą ich rozmowę. Gaston nie był mu zupełnie obcym, wiedział, że to on oskarżył Lolę i jego brata, to też rzucił na niego tak okropne spojrzenie, że Gaston byłby się niezmiernie przeraził, gdyby je był spostrzegł, ale zajęty innemi myślami, żadnej na Roberta nie zwracał uwagi.

— Teraz usłyszę pewnie coś zajmującego, — pomyślał chłopak.

I jakgdyby los chciał spełnić wszystkie życzenia jego, wyszli obydwaj panowie przed dom i usiedli koło otwartego okna. Robert przysunął się tuż do ściany i słyszał ztąd wszystko tak, jakgdyby do niego wprost mówili.

Notaryusz kazał tu podać śniadanie i zaczął szydzić nieco z Gastona, nazywając go drugim Otelem.

— Wyglądasz trochę śmiesznie kochany hrabio, — rzekł mu, — w roli zazdrosnego kochanka.

— Nie podejrzywam bynajmniej Nory o zdradę, — odparł Gaston rozgniewany, — ale nie wiedziałem, że pan sam ją tu odwieziesz i..... No, jednem słowem wyznaję, że obawiałem się, aby się tu nie spotkała z tym doktorem.

— Nora nie postąpiłaby tak niestósownie, — szepnął pan Nivel nieco zakłopotany, przypominając sobie bytność Nory u Lucyana. — Zresztą to, co mam panu do powiedzenia rozproszy wszelkie obawy i wątpliwości!

Mówiąc to wyjął list z kieszeni i podał go hrabiemu. W tejże chwili poruszyła się lekko firanka u okna. Pan Nivel obejrzał się, ale nie widząc nikogo, myślał, że to wiatr poruszył ją.

Gaston tymczasem przeczytał list.

— Znasz pan treść tego listu? — zapytał.

— Domyślam się o co chodzi! — odrzekł pan Nivel.

— Nora pisze tak:

„Przed chwilą, w której zamierzam uczynić najważniejszy krok w życiu, potrzebuję skupienia myśli i modlitwy. Dla tego powracam na trzy mniej więcej tygodnie do klasztoru, w którym się wychowałam. Jest to ostatnie moje życzenie przed ślubem i mam nadzieję, że mi pan tego za złe nie weźmiesz''.

— Bardzo dobrze, — zawołał pan Nivel.

— Bardzo dobrze, — powtórzył Gaston. — List ten dowodzi, że ona nie myśli już o tym doktorze. Zdaje mi się, że dobrze postąpiłem, nie przypisując żadnego znaczenia jej prośbie wówczas.... gdy żądała, abym się zrzekł jej ręki.... Gdybym był tę rzecz wziął na seryo, byłoby gorzej. Ale najlepiej zbyć wszystko żartem — wtedy jest się panem położenia. Kobietom wogóle nigdy ustępować nie trzeba — tylko siła żelazna i stanowcza wola może im zaimponować.

— Spodziewam się, że zazdrość przestanie pana teraz niepokoić, — roześmiał się notaryusz.

— O tak, zupełnie!

— Za trzy tygodnie zapomni Nora zupełnie o doktorze Darby.

— A gdy zostanie moją żoną, to postaram się o to, aby nie przypomniała sobie o nim. Możemy teraz wracać spokojnie do Paryża!

Pan Nivel zapłacił za śniadanie i obydwaj panowie, bardzo z siebie zadowoleni udali się na dworzec, aby zdążyć na pociąg odjeżdżający do Paryża.

Teraz też wyszedł Robert z pokoju.

— Nareszcie! — szepnął. — Teraz nareszcie mam wolne pole!

ROZDZIAŁ 13.

Młody ten zbrodniarz wiedział, że teraz może rozpocząć działanie, że nic nie stoi mu na przeszkodzie do spełnienia zamiaru. Chodziło mu tylko o to, aby wyzyskać jaknajlepiej korzystne położenie rzeczy, przedewszystkiem zaś pragnął się wystarać o jakieś mieszkanie, ale takie, aby go tam nikt nie podglądał. Chciał, nie będąc widzianym, widzieć wszystko i nie zwracając na siebie uwagi, na wszystko pilnie uważać. Miał trzy tygodnie czasu, mógł więc zdziałać dużo, nie wiedział tylko, kto jest ów doktor Darby i czy i z tym będzie się musiał liczyć.

Rozmyślając nad wykonaniem swych haniebnych planów, zbliżał się ku klasztorowi i z pewnem niezadowoleniem patrzał na gruby i wysoki mur, otaczający go jak twierdzę.

— Mur wysoki, — mówił sobie w duszy, — drzwi mocne i okna okratowane nawet na drugiem piętrze, a oprócz tego okiennice wewnątrz! Wszystko to na noc pewnie zamykają! No, przypatrzmy się temu z drugiej strony!

W lewem skrzydle zauważył kaplicę przytykającą do sąsiedniego domu i poznał, że i z tej strony nie da się nic zrobić.

Z prawej strony prowadziła wzdłuż muru uliczka, a z po za muru wychylały się wierzchołki drzew ogrodu klasztornego. Mur dochodził aż do rowu przy tamie kolei żelaznej, a tam gdzie się kończył, stał mały, zapadający się domek. W jednem z okien jego był na szybie przylepiony papier z napisem: „Na sprzedaż.'' Domek ten składał się z parteru, piętra i kilku komórek na poddaszu, w murze zaś były drzwi, przez które wchodziło się na podwórko tego domu. Naprzeciwko tych drzwi widać było w murze inne jeszcze, zielono pomalowane a wiodące do ogrodu klasztornego.

Robert tryumfował. Domyślał on się, że do klasztoru muszą być dwa wejścia i postanowił się zaraz z temi drzwiami bliżej zapoznać. Zbliżywszy się do nich, patrzał na nie okiem znawcy i poznał, że zamek lichej jest roboty — takich zamków miała matka jego dużo w sklepie. Obszedł potem jeszcze raz cały ogród i znów do drzwi tych wrócił, uważając je słusznie za najsłabszy punkt całej twierdzy. Tu stąd też postanowił rozpocząć wyprawę wojenną, ale przedewszystkiem trzeba mu się było przekonać, jak wygląda w ogrodzie i jak dziedziniec klasztorny był urządzony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Z ojczystych stron.

Ruiny klasztoru w Czerwińsku.

Czerwińsk, niegdyś osada, dziś zaś miasteczko, na prawym brzegu Wisły, w powiecie płońskim w Królestwie Polskiem, należy do najstarszych w Polsce. Data założenia tej osady ginie w pomroce dziejów, lokacyjny bowiem przywilej zaginął. Wiadomo jeno, że w r. 1117, Piotr na Skrzynnie Dunin, zbudował kościół z c[illegible]owego kamienia, a następnie fundował opactwo reguły św. Augustyna. Bolesław IV Kędzierzawy w roku 1161 klasztor rzeczony kilku włościanami obdarzył. Zmarł tu 1292 roku, i pochowany został książę Konrad.

Jagiełło, idąc na wojnę przeciw Krzyżakom w roku 1410, w świątyni czerwińskiej błagał Najwyższego o szczęśliwe powodzenie orężowi, poczem po moście łyżwowym przeprawił wojsko przez Wisłę. Po zwycięstwie hełm tu swój zawiesił i srebrne wotum na ołtarzu złożył.

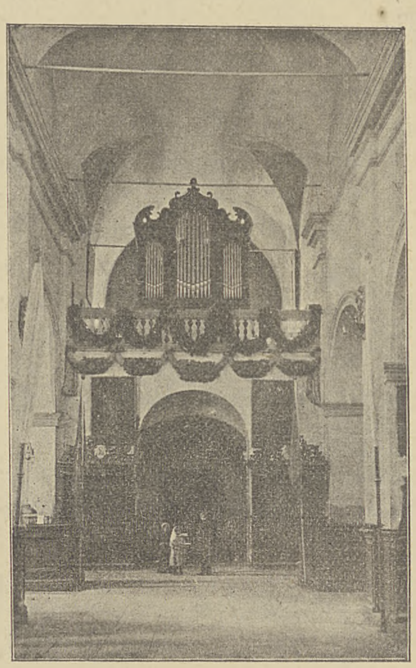
Przywileje klasztoru zebrane w całości w r. 1475, za czasów opata Rafała, przepisane w dwie księgi, zw. „Kodeksem czerwińskim'', znajdują się w bibliotece ordynacyi Zamoyskich w Warszawie.

W r. 1593, Zygmunt III, płynąc Wisłą do Szwecyi, wstępował do klasztoru i świątyni czerwińskiej. Król Jan Kazimierz kilkakrotnie miejsce to nawiedzał w r. 1648, a w roku następnym zdobyte chorągwie złożył przed ołtarzem Bogarodzicy. Był to jeden z najbogatszych klasztorów w Polsce, lecz za rządu pruskiego odebrano mu wszelkie dobra, wyznaczając bardzo niską kompensatę pieniężną.

Kościół wraz z gmachami klasztornemi wznosi się na wzgórzu, panującem nad Czerwińskiem; w budowli tej dochowały się ślady XII-go wieku, pomimo licznych przeróbek z czasów panowania stylu ostrołukowego w XIV do XV wieku.

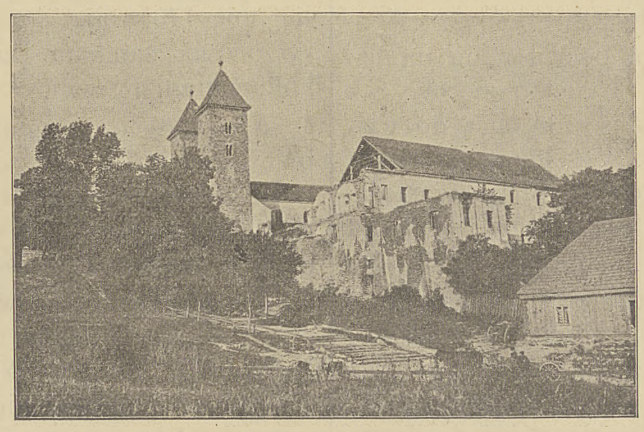
Gmachy klasztorne składały się z dwóch części: klasztornej i zamkowej. W grachu zw. zamkowym, bardzo często przemieszkiwali książęta mazowieccy. W r. 1819-ym kościół czerwiński zamieniono na etatowy parafialny, gmachy zaś klasztorne oddano pannom Norbertankom, które przeniosły się tu z klasztoru płockiego.

Wr. 1900 pozostałe przy życiu pp. Norbertanki, w liczbie sześciu, opuściły klasztor czerwiński, i osiadły w klasztorze imbranowickim, w gub. kieleckiej. Gmachy klasztoru czerwińskiego podzielono w ten sposób, iż część „zam-



Wnętrze kościoła w Czerwińsku.

kową'', składającą się z 22 pokojów, oddano do rozporządzenia ówczesnego biskupa płockiego, ś. p. ks. Szembeka, na urządzenie mieszkań letnich dla alumnów seminaryum płockiego. Drugą połowę gmachu klasztornego, o 25 pokojach, oddano na własność parafianom czerwińskim. Wkrótce ś. p. ks.



Ruiny zamku w Czerwińsku.

Szembek przeniósł się do Petersburga, a projekt urządzenia letniska dla alumnów nie doszedł do skutku.

W lokalach na ten cel przeznaczonych pozrywano posadzki, powyjmowano drzwi, okna i wszelkie okucia; piece kaflowe rozebrano, ozdoby architektoniczne wewnątrz i zewnątrz gmachu pozrywano. Gdzie się to wszystko podziało? — niewiadomo.

Część ta gmachu przedstawia ruinę, zwłaszcza, że i dachówki naruszono.

Druga część gmachu, oddana do rozporządzenia parafian, jest już zupełnie w gruzach, i prawie do gruntu rozebrana. A był to gmach silnie zbudowany. Można było w nim pomieścić niejedną, lecz kilka szkół, szpital, lub jaki inny zakład dobroczynny. Skończyło się na zniszczeniu zupełnem tych wielce pamiątkowych zabytków przeszłości.

Niedawno temu grono parafian wystąpiło do władz właściwych z protestem przeciw zniszczeniu, dokonywanemu przez jednostki, nie umiejące uszanować pamiątek narodowych.

Władysław Koleżak.

Wilia wnuków Sobieskiego.

(Wspomnienie historyczne.)

Rzecz dzieje się 24-go grudnia 1705 roku. Na ulicach Monachium słychać szczęk broni i dziką wrzawę obozową. Gęsty śnieg dmie w oczy, a na tle ciemnego nieba przed olbrzymią sylwetą zamku książęcego błyszczą trójkątne kaski i białe kolety austryackich gwardzistów, rzędem u bram ustawionych.

W obszernej komnacie pierwszego piętra u marmurowego kominka siedzi poważna ochmistrzyni dworu, Polka rodem, a wokoło niej pięć dorodnych chłopiąt i jasnowłosa dziewczynka tulą się do jej kolan, jakby strwożone ptaszęta. Niewiasta trzyma w ręku właśnie co oddany list, przywieziony przez osobnego kuryera i cicho wzdychając łzy ociera.

Gwałtowny wicher wstrząsa szyba-

mi okien w ołów oprawnemi, a łuna płonących polan ślizga się i migota czerwonym blaskiem po wspaniałych makatach, przepysznych bronzach, alabastrach i stalowych zbrojach wspaniałej komnaty.

W głębi wenecki żyrandol rzuca snopy światła na stół obszerny, białym bisiorem okryty i polskim zwyczajem sianem zaścielony. Na stole obficie w potrawy zastawionym, wśród srebrnych naczyń paczka opłatków z złotą przepaską widnieje, i „kutii“ ruskiej tam nie brak, a w rogach komnaty snopy zboża rozstawiono.

A jednak nikomu do uczty świętej nie spieszno dziś wcale. Głuchą ciszę przerywa poważny brzęk zegara, trzask palącego się na kominie łuczywa i ciche łkania zapłakanej matrony.

W tem najstarszy z chłopczyków czystą i dźwieczną polszczyzną zawołał:

— Jakoż to? — matusia nie przyjedzie, opłatkiem z nią się nie podzielim?

— To nie można rzecz! — wtrąciła jasnowłosa dzieweczka.

— Niestety! moje dzieci, księżna pani właśnie tem pisaniem donosi, że wyjechała dziesięć dni temu z Wenecyi, aby w tej ciężkiej opressyi was sieroty w dzień wilii do serca przytulić, ale ją od tyrolskiej granicy z drogi nawrócono z cesarskim rozkazem, że noga jej nie ma więcej stanąć na bawarskim gruncie.

Dzieci na te słowa podniosły jeden wielki okrzyk płaczu i narzekania. Ochmistrzyni starała się je uspokoić, a potem łzy otarła i do uczty wigilijnej zaprowadzić chciała, ale żadne z nich z miejsca się nie ruszyło. Nie było rady. Trzeba było wieczerzy świętej zaniechawszy dzieci służbie powierzyć, aby je do snu ułożono.

Cóż znaczy ta polska wilia na bawarskim dworze i czemu sieroty tak rozżalone, że zasiąść nie chcą do wieczerzy, ani wśród wesołego rozhoworu nie otaczają rozświeconej tysiącem świateł choinki, jaką co roku je dotąd obdarzano?

Oto — owe dzieci, to wnuki króla Sobieskiego, opuszczone w ciężkich przeprawach dziejowych przez ojca i matkę.

Ks. Teresa z Sobieskich była drugą żoną Maksymiliana Emanuela, elektora bawarskiego. Jeszcze podczas odsieczy wiedeńskiej poznał się ten dzielny książę z Janem III., i bardzo do siebie przylgnęli, bo ich łączyły wspólne niewczasy obozowe i bohaterskie węzły rycerskiego ducha.

Po świetnych trofeach wojennych elektora na Węgrzech i nad Renem, nastały czasy jego tryumfów politycznych. Podziwiany powszechnie z powodu szlachetnej dobroci, wielkiej urody, wystawności dworu i osobistej odwagi, obejmuje (1692) z poręki króla hiszpańskiego Karola II. namiestnictwo Niederlandów, a po śmierci pierwszej żony Maryi Antoniny, córki cesarza Leopolda, żeni się po raz drugi (1694) z córką dawnego druha i przyjaciela Jana III. Bohater z pod Wiednia ze łzami w oczach i modlitwą wierszowaną własnego utworu żegna umiłowaną córuchnę, której więcej już nie miał zobaczyć.

Jeszcze większy splendor spada na dom elektora, gdy bezdzietny, dogorywający Karol II. jego małoletniego syna z pierwszego małżeństwa, Józefa sukcesorem hiszpańskiej korony naznacza. Radość ojca nie miała granic, podczas gdy wieść ta piorunem uderza w dwór wiedeński. Ale sześcioletni dziedzic największego państwa na świecie, ledwie przewieziony z wielką pompą z Monachium do Brukseli, nagle zaniemógłszy, umiera.

Nieszczęśliwy ojciec zmysły traci z rozpaczy. Sprawa Francyi zwycięża, wnuk Ludwika XIV., Filip Anjou zasiada na hiszpańskim tronie i rozpoczyna się krwawa wojna o sukcesyę hiszpańską, a król francuski złotemi obietnicami przekonuje elektora, że jedynem dla niego szczęściem jest wspólne zmiażdżenie Austryi i liga z Francyą.

Tu dopełnia się miara nieszczęść i fatalnego przeznaczenia. Krwawe zapasy dwóch olbrzymich wojsk łuną pożogi rozświetlają całe południowe Niemcy i rozgrywają się na niekorzyść Maksymiliana i Francyi na terytoryum Bawaryi w dwóch walnych bitwach pod Schellenbergiem i Hochstädt (13 sierpnia 1704) nad Dunajem, po których cesarz zamienia Bawaryę w lenną hołdowniczą prowincyę.

Nieszczęście nie miało granic. Nie było innej rady, jak zdać bezbronny lud i nieszczęśliwą rodzinę na łaskę i niełaskę zwycięzcy, a samemu na obczyźnie szukać ocalenia.

Powierzywszy listownie ster Bawaryi żonie, rusza Maksymilian z niedobitkami ku Renowi. W drodze dogania go ks. Teresa z dziećmi, zdecydowana dzielić z nim niedolę i wygnanie. Ale elektor przedstawia jej los opuszczonego ludu i prosi, aby Bawaryi była aniołem opiekuńczym w nieszczęściu. Niewinność bezbronnej niewiasty — jego zdaniem — będzie jej tarczą i obroną, a łzy córki wielkiego Sobieskiego, zbawcy Wiednia, wyjednają u rozgniewanego monarchy, że nie zada ostatecznego ciosu Bawaryi. W ten sposób rozstają się w bolesnej chwili ojciec, matka i dzieci, z słabą nadzieją powrotu lub ujrzenia się kiedy.

Nastają straszne czasy teroryzmu wojsk cesarskich w ujarzmionej Bawaryi. Współczesne opisy okrucieństw rozpasanego żołdactwa, mordów i grabieży, krew w żyłach ścinają. Gorące błagania córki Sobieskiego nie znalazły posłuchu na dworze wiedeńskim, a przeniewierstwo Wittelsbacha, w krwawy pomszczono sposób.

Nawet serdecznie naiwny list dziewięcioletniego, najstarszego wnuka Sobieskiego, Karola Albrechta, w którym składając cesarzowi Józefowi I. życzenia z okazyi objęcia tronu, błaga o litość w niedoli — nie odnosi pożądanego skutku. „Czyż nam już nic nie pozostanie — pisze dziecko — jak tylko opłakiw. ciężką naszą dolę, wszak mamy nadzieję, że bezbronna niewinność przed tronem litości W. Cesarskiego Majestatu jakąś łaskę znaleść powinna...“ *)

Głuche milczenie Józefa I. było najwymowniejszą odpowiedzią. Elektorskie dzieci pilnowano odtąd z podwójną surowością, wszelkiego porozumienia z rodzicami im zabroniono, objawy sympatyi dla nich karano torturami i więzieniem. **)

Z niewymownym żalem patrzyła bezbronna ks. Teresa na cierpienia ludu, wśród szczęku oręża co chwila drżąc o życie swoje i sześciorga dzieci. W tym czasie powiła najmłodszego syna, Maksymiliana Emanuela, a poród ten, nieszczęścia i niepokoje podkopały jej zdrowie do tyla, że lekarze zalecili jej co żywo wyjeżdżać za granicę. Powierzywszy wtedy opiekę nad dziećmi zaufanej ochmistrzyni Polce, wyjechała do Wenecyi, gdzie w objęciach matki szukała ukojenia po strasznych ciosach, których już dłużej nie mogła być świadkiem.

Ujarzmiony i osierocony lud bawarski boleśnie odczuł wyjazd umiłowanej księżnej i opuszczony, a nawet zdradzany przez obojętną szlachtę i magnateryę bawarską, postanowił gwałt odeprzeć gwałtem i porwał się do broni.

Pod wodzą szlachetnego zapaleńca, studenta uniwersytetu ingolstadzkiego, Sebastyana Plingansera z Pfarrkirchen, trzydzieści tysięcy włościan uzbrojonych we flinty, kosy, widły, i cepy i okute drągi, rzuciło się na wroga w obronie wolności i ukochanej rodzi-

*) Falkensteins bairische Geschichte.

**) Z dzieci tych jedyną córeczkę Maryę Karolinę oddano do klasztoru, 4 synów (Karola Albrechta, Filipa Maurycego, Ferdynanda Maryę i Klemensa Augusta) przewieziono później tajemnie do Celowca, gdzie pod nadzorem hr. Khevenhüllera w ścisłem odosobnieniu pod nazwą hr. Wittelsbachów zostawali.

ny książęcej. Po wielu zwycięskich walkach ostateczny cios miał zadać cesarskim ten „Kościuszko“ bawarski, przez zajęcie Monachium 24-go grudnia 1705 roku. Strzał armatni przed samą pasterką miał być hasłem połączenia się mieszkańców miasta z powstańcami. Ale daremnie czekano w noc smutnej wilii umówionego znaku! Jeden ze szlachty zdradził całą sprawę przed dowódcą załogi i powstańcy zaatakowani znienacka, nim dotarli pod bramy Monachium, w pień zostali wycięci, lub poszli w rozsypkę.

Nazajutrz mroźny ranek Bożego Narodzenia zimny pocałunek złożył na stosach trupów w śnieg powalonych u izarskiej bramy. A oni spoczywali w sen wieczny spowici i jakaś nieopisana błogość malowała się na ich obliczach, bo polegli za świętą sprawę.

Ludwik Glatman.

Przyjdą swaci do Ciebie...

Przyjdą swaci do Ciebie...
Ledwo święta przeminą,
Przyjdą swaci do Ciebie
Z niespodzianą nowiną...

Wystrojeni odświętnie,
Z winem słodkiem we dzbanie,
Przyjdą swaci do Ciebie
Zwiastować Ci kochanie.

Za wstążkami bukiety
U Polaka kupione!...

Przyjdą w cichą, gwiaździstą
Noc zapustną, zimową,
Przyjdą po Twe Kochanie,
Po ostatnie już Słowo...

(A wystrój-że mi izby!
Chociaż zima, to umaj
I o chlebie gościnnym
Słodko, dziewczę, podumaj)...

Lwów 1905. *Feliks Gwiżdż.*



F. Kiederich. **Konkurent.**

A wystrój-że mi izby!
Chociaż zima, to umaj
I o chlebie gościnnym
Słodko, dziewczę, podumaj.

A przyjmijże ich godnie,
Posadź mi ich na ławy
I nie szczędl im słów dobrych
I słonecznej zabawy.

Swarnych chłopców Ci poślę:
Jeden był aż kapralem...
Kiedy wojsko opuszczał,
To żegnali go z żalem...

Drugi młodszy, a przecie
W Hameryce już bywał —
Tam talarki zarabiał
I honorów zażywał.

Kapelusze ubiorą
W wstążki, jak krew, czerwone —

Z teki tetryka.

O wy, którzy poicie świat żółcią i radzibyście zatruć ludzkości każdą chwilę szczęśliwą, pamiętajcie, iż łatwiej zrobić stu niezadowolonych, niż jednego zadowolonego.

„Z'dymem pożarów.“

„Dość jest, gdy słowo niebacznie zazgrzyta;
„O trumnę wspomnień — już ryczą zmącone
„Burze w głąb duszy wtłoczone.“
(Neumanowa).

O taką trumnę wspomnień zgrzytnęła opowieść krótka o wielkim naszym Jeremim — o chwilach spędzanych niedaleko Bóbrki, o chwili stworzenia naszego drogiego hymnu, opowiadana mi przez 85 letniego dziś staruszka, a przyjaciela ś. p. Kornela Ujejskiego, przez ks. Bożentowicza.

W powieści „Pierwsi Galicyanie“ opisuje pięknie p. W. Łoziński strony,

położone opodal miasteczka Bóbrki, którędy szedł t. z. „szlak wołoski.“

Faliste pagórki nadają wiele malowniczości całej okolicy, z której przedewszystkiem spogląda wyniośle dzisiejsza wioska Sokołówka.

Dawniej, jak „wieść gminna niesie,“ leżało tu wielkie miasto, sięgające aż pod Pietniczany z ich oryginalną basztą, z drugiej strony aż po za dzisiejszą Sieniawkę, nazywało się zaś Sieniawą.

A w tej Sokołówce rozłożył się na stoku wzgórza obszerny park, z omszałemi drzewami, ze ścieżkami, prowadzącemi popod stare ruiny kościółka, stawianego przy końcu 16-go stulecia, dziś zaniedbanego, zczerniałego, dumającego nad swą przyszłością.

A w parku owym dziś samotny zakonnik z zakonu oo. Misyonarzy, do których należy, przechadza się cienistemi alejami, odmawiając brewiarz, lub przemknie się jakaś ptaszyna tędy, kędy w pierwszej połowie 19-go wieku brzmiały wesołe głosy szlachty, zjeżdżającej się chętnie, kędy płynęły srebrzyste i melodyjne tony naszych piosnek, śpiewanych przez córkę właściciela Sokołówki.

Dziś zaciszne to ustronie z ładnym domkiem zakonników, którzy nazwali je „Paulinówką,“ zda się z pomiędzy dużych drzew mówić:

Tułaczu Polaku! pozostań tu chwilę.... O pozostań, poszukaj tu stare omszałe drzewo, pod niem ławeczki i stolik i wspomnij o osobach tam przed kilkudziesięciu laty odpoczywających — o twarzach, odbijających dziwnym bolem.

Pozostań i przypatrz się im... bo wszak to wielki Jeremi... to znana Zofia z Mrozowickich Rudnicka i tylu innych.

Staropolskie gniazdo ten dom Mrozowickich — a w około słynął też dwór sokołowiecki.

Kornel Ujejski często tu bawił, przesiadywał i... tworzył.

Tu rosły niejedne perły naszej poezyi, niejedne kwiatki przeoblekały się tutaj w rytm i rym.

Lecz nadszedł krwawy rok.

W powietrzu dusznem dawały się czuć prognostyki burzy.

Leciała, jakby grom, wieść o krwawej zabawie chłopskiej, o Kaina robocie z wyższego polecenia. Lecz temu nie wierzono. I w Sokołówce pobladły twarze, a ś. p. Kornel Ujejski tylko coraz częściej dumał...

I w Sokołówce w karczmie nie było cicho... Okoliczne wioski dostarczały wiele materyału na Szeli pomocników, szukano przewodnika i czekano przyjazdu cyrkułowego... by taniec rozpocząć. W dworze nie wierzono. Mimo to wmieszał się młody Rudnicki, późniejszy mąż p. Zofii Mrozowickiej, przebrany za parobka między pijaną tłuszczę; w krótce nie żałując monety stał się ich powiernikiem, a nawet naczelnikiem.

A wieść o przybyciu komisarza, który miał dać im rozgrzeszenie na krwawy taniec szła coraz głośniej od ust do ust podawana.

Rudnicki czekał z innymi na zapowiedziany przyjazd.

I stało się.

Niedziela po południu liczne zebrała tłumy... ochota krążyła... tylko czekano.

I nadjechał w urzędowej czapce, jakby na komisyę komisarz cyrkułowy. Zajechał, wysiadł i zażądał rozmowy z naczelnikiem!

W obszernej, osobnej izbie wartko potoczyła się rozmowa, wielkie i silne były argumenty — nie ogródkami, ale jasno padały słowa zachęty do czynu. Rudnicki słuchał, wąs podkręcał, oczy iskry ciskały... usta milczały. Wreszcie stało się coś niezwykłego... wskazał swoim na p. komisarza i coś im szepnął...

Głucha wieść niosła o czemś dotkliwem dla p. komisarza, który ledwie się w Bóbrce opatrzył... A wieczorem wrócił blady Rudnicki w sukmanie chłopskiej w dworku podwoje — między oczekujących go braci... przyniósł im hiobową wieść, od której włosy na głowie stanęły.

W oku Ujejskiego łza zabłysła, i spłynęła a z nią popłynęły i słowa głębokiego żalu, słowa cudnej modlitwy do stóp Stwórcy, — popłynęły tony wspaniałego hymnu, wśród drzew sokołowieckich szmeru ułożonego, wielkiego naszego „Chorału...“

Z dymem pożarów.“

Karol Notz.

Złote myśli.

W dzisiejszych czasach potrzebujemy wrażeń, które wstrząsają nerwy. Najnowsza muzyka, jak i życie, składa się z dysonansów.

Z powagą narzeczonej chodzi zwykle pogoda i szczęście. Kto bez żalu całe serce oddaje, ten nie może tęsknić za niczem i jasno patrzy w przyszłość.

Analiza jest czemś podobnem do oskubywania kwiatu. Psuje się przez nią najczęściej piękność życia — a zatem i szczęście, czyli to, co jedynie ma sens.

Henryk Sienkiewicz.

Maszyna parlamentarna.

(Fotografie z parlamentu austryackiego)

napisał

Adam Nowicki.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Przebieg posiedzeń.

Posiedzenie nie zapowiada się interesująco.

Nasamprzód prezes albo jeden z zastępców, nakazuje przeczytanie wniesionych interpelacyi i postawionych wniosków. Ten obowiązek ciąży na sekretarzach, wybieranych z pośród najmłodszych posłów. W czasach spokojnych Izba zadowala się odczytaniem tytułów i krótkiej treści każdego dokumentu. W epoce jednak, gdy to lub owo stronnictwo chce zatamować prawidłowy przebieg obrad parlamentarnych, — co nazywa się w języku technicznym „obstrukcyą“ — owo czytanie interpelacyi i wniosków wyrasta na jeden z najgroźniejszych orężów taktyki obstrukcyjnej. Wystarcza bowiem, aby tylko jeden poseł zażądał dosłownego odczytania interpelacyi oraz wniosków i już biedni sekretarze całemi godzinami muszą czytać nietylko interpelacye tudzież wnioski, lecz nawet petycye, nadesłane do prześwietnej Izby z rozmaitych stron monarchii. A złośliwi obstrukcyoniści wyznaczają kolejno delegata, który uważnie pilnuje, by sekretarz czytał wyraźnie i broń Boże, nie opuścił choćby jednego zdania. W ten sposób marnuje się szczęśliwie połowę, albo i część większą posiedzenia.

Wreszcie skończono odczytanie owych pism. Prezes udziela głosu pierwszemu z zapisanych mówców. Mówca odchrząkuje i rozpoczyna mowę, do której dniami całemi się przygotowywał. Prócz prezesa i stenografów słucha go zaledwie kilku przyjaciół osobistych i ten albo ów z przypadkowo zabłąkanych posłów. Te pustki nie zrażają mówcy. Mówi więc tak długo, dopóki nie dojdzie szczęśliwie, albo mniej szczęśliwie, do końca, jaki sobie nakreślił. Potem wstaje drugi poseł i znowu przemawia do stenografów, tudzież do czterech albo pięciu osobistych przyjaciół, i do jednego albo dwóch przypadkowo zabłąkanych posłów.

Sala parlamentu austryackiego jest tak wielką, że akustyka wypada fatalnie. Już to jedno odstrasza od słuchania. Zresztą rzadko który z posłów mówi o rzeczach natury ogólniejszej, mogących zainteresować posłów innych stronnictw narodowych. Tematem

przemówienia są zazwyczaj sprawy partykularne, niezmiernie interesujące mieszkańców danego powiatu, albo miasta, lecz obojętne dla całej Izby.

Posłowie piszą przez ten czas listy, rozmawiają na korytarzach, konferują z dziennikarzami, siedzą w bufecie, wychodzą na miasto, przechadzają się po wielkiej hali...

Wtem zaczyna przeraźliwie nawoływać dzwonek elektryczny. To sygnał, że w sali przygotowuje się ważniejszy wypadek. Mówić ma albo prezes ministrów, albo któryś z przywódców klubowych. Wtedy sala się wypełnia. Jeżeli mówi minister, to przestrzeń między ławkami poselskiemi i ławą ministrów czerni się od posłów tak, że — jak to mówią — szpilki nie wetkniesz. Jeżeli natomiast ma przemawiać prezes któregoś z największych klubów, tłum słuchaczów pcha się ku ławce, w której zasiada; w parlamencie austryackim bowiem posłowie mówią ze swoich miejsc; trybuny w Wiedniu niema. Tych przemówień posłowie słuchają w skupieniu, darzą oklaskami, albo przerywają gestem oburzenia. Gdy mówca kończy, w jednej chwili w Izbie i korytarzach rozpoczyna się komentowanie, debaty, dyskusya, jeden drugiemu udziela wrażeń odniesionych, słowem owa mowa bywa „evenementem" politycznym.

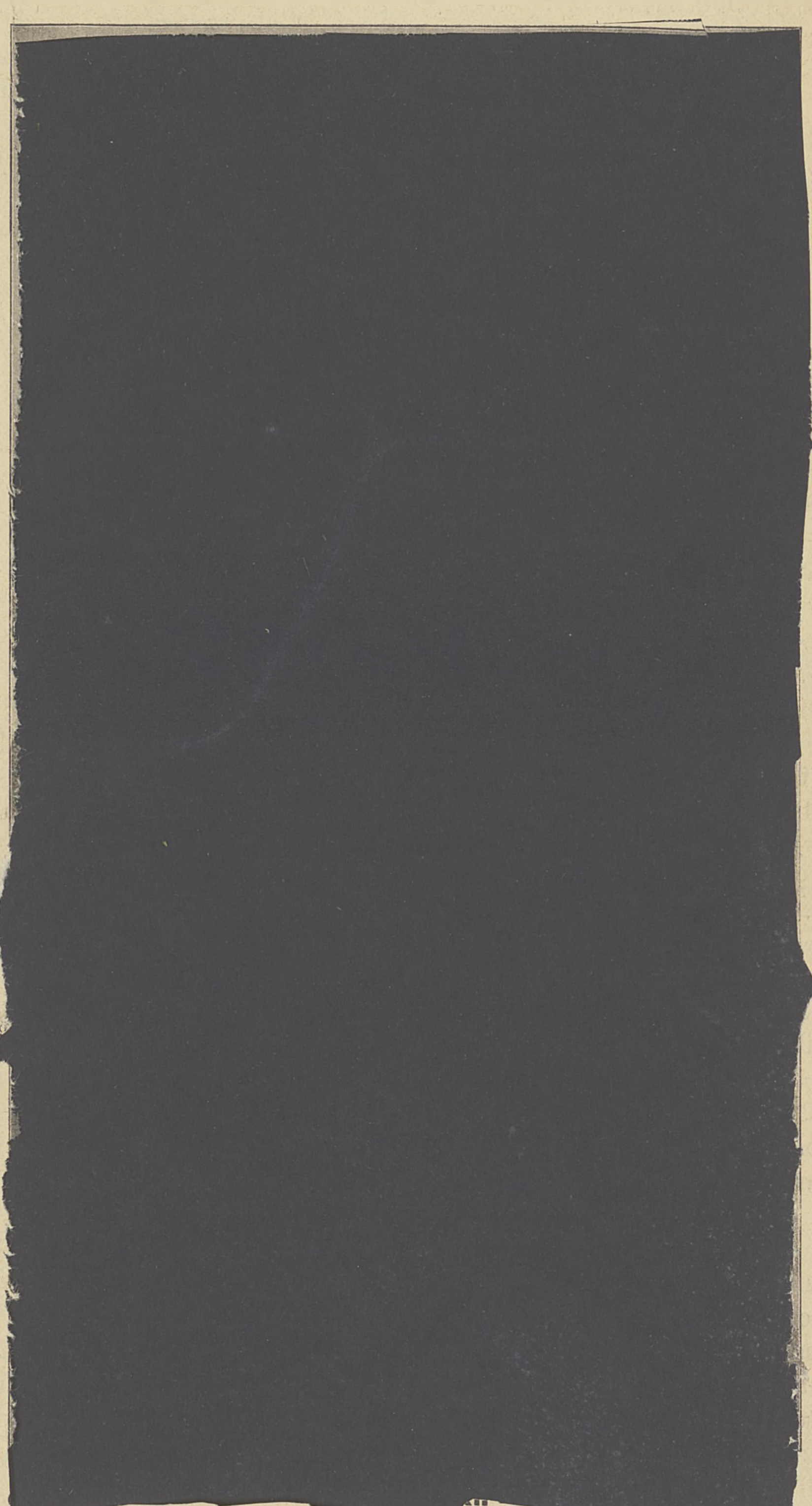
Ale takie mowy zdarzają się rzadko, raz na parę tygodni. Im rzadziej zaś się zdarzają, tem ich echo w Izbie i w prasie donioślejsze.

W czasach, kiedy Izba marudzi i posłowie zniechęceni włóczą się z kąta do kąta, koniec posiedzenia przypada już koło godziny trzeciej po południu. I wtedy zdarzają się sceny najbardziej dramatyczne z całego posiedzenia. Prezes powinien oznaczyć podług regulaminu termin i porządek dzienny następnego posiedzenia. Posłowie posiadają prawo wystosowywania do prezesa rozmaitych zapytań. Niejeden poseł, który chce wprowadzić do Izby sprawę, albo nie objętą porządkiem dziennym, albo nie przewidzianą przez regulamin, stara się owo pytanie skonstruowania tak, by wsadzić w nie kwestyę nieraz albo politycznie, albo osobiście bardzo ważną. Prezes często nie chce na to pozwolić. Żąda więc od mówcy, by ściśle ograniczył się tylko do postawienia pytania. Stąd rodzą się starcia, które w dusznej, zgorączkowanej atmosferze Izby, udzielają się wszystkim posłom, doprowadzają do burz, często o sile podzwrotnikowego orkanu.

Bywa i tak, że prezes nie mogąc sobie dać rady z rozhukaną Izbą woła: „zamykam posiedzenie" i ucieka z sali. Termin i porządek dzienny rozsyła kancelarya drogą listowną.

. . . .

Bywają posiedzenia, o których się z góry wie, że będą albo bardzo burzliwe, albo bardzo uroczyste. Wówczas



ani jeden poseł nie opuszcza swego miejsca, kluby stawiają się w pełnym komplecie, w lożach dziennikarskich aż czarno. Wszystko oczekuje tej chwili, kiedy ma się rozegrać chwila decydująca, czasami tylko o losach jednego człowieka, czasami o losach stronnictwa, albo gabinetu. Fortuna, która jest bardziej złośliwą od najzłośliwszego satyryka, czasami sprawia zawód. Posiedzenie mija bez zapowiedzianej sceny, ku irytacyi amatorów wrażeń.

Ale trafia się to rzadziej, bo akcye parlamentarne są najczęściej wynikiem wyreżyserowanych za kulisami kompromisów, układów, tudzież intryg. Sala posiedzeń jest po prostu sceną, na której kilku zręcznych ludzi porusza z ukrycia masami statystów, prawie nie wiedzących, komu służą i czyjej słuchają komendy. Nie brak sztucznych grzmotów i błyskawic, akcentów oburzenia, ryku wściekłości. Galerye aż drżą z rozkoszy, bo sądzą, że to wszystko prawdziwe. Tymczasem naprawdę jest to robota sympatycznego, zapobiegliwego reżysera, który z góry przewidział i przygotował ten efekt.

Starcia niespodziewane rozgrywają się rzadko, bo dobre wychowanie, umiejętność maskowania się, pewna.... obłuda powstrzymuje ludzi od ukazywania

się na scenie parlamentarnej... bez krawata.

(Dokończenie nastąpi.)

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

[redacted]

rozwijał we wszystkich działaniach swoich nieskończenie więcej zdolności wojskowych, niż Moskale w swych natarciach. Patrząc na zaciekłość obustronną, zdawałoby się, że los Polski zawisł wówczas od wzięcia lub utrzymania tej forteczki.''

„Gdy to się dzieje, kazał król pruski, który ciągle udawał, że najściślejszej trzyma się neutralności i nawet w obecnej chwili odgrywał rolę pośrednika między Moskwą a Polską, wydać Drewiczowi z arsenału wrocławskiego 22 dział sześcio- i dwunastofuntowych i 12 moździerzów wielkiego kalibru. Otrzymawszy taką pomoc, rozpoczął Drewicz bombardowanie, które trwało nieprzerwanie dni kilka lecz z małym skutkiem, ponieważ Puławski kazał z przezorności popalić wszystkie budynki, przypierające do twierdzy.''

„Miał przytem znaczne zapasy pro- [redacted]

sztum powszechny.''

„Już przystawiają Moskale drabiny, włażą na nie z odwagą i sądzą się panami twierdzy, ale Puławski przebiega z miejsca na miejsce, jest prawie wszędzie przytomny, a dzielni żołnierze jego, ośmieleni przykładem wodza, bronią swych stanowisk z taką walecznością, że przeciwnicy jego muszą zaniechać przedsięwzięcia, o którego powodzeniu nie wątpili, i cofnąć się, straciwszy 200 ludzi.''

„Z drugiej znów strony napadały rozmaite oddziały konfederatów, kryjące się w okolicy, z nienacka a szczególniej nocami obóz Drewicza, szerzyły w nim popłoch, zabierały jeńców i część żywności lub amunicyi.''

Tak zmarnowali Moskale sześć, a nawet więcej tygodni pod murami twierdzy, którąby dziś zdobyli w 24 godzinach. Widząc w końcu bezużyteczność wszelkich usiłowań, kazał Repnin wrócić Drewiczowi do Warszawy, gdzie oddział jego, a szczególniej artylerya były potrzebne...

„W jakiś czas potem dowiaduje się Puławski, że Moskale zbierają się w okolicy Kochanowa i że w samem tem mieście magazyny pozakładali. Wyruszył natychmiast na czele 2000 ludzi w nadziei, że mu się uda zabrać te składy i rozpędzić strzegące je oddziały. Suwarow pospieszył w 4000 żołnierza za nim w pogoń i dognał go o kilka mil od miejsca tego, a stoczywszy z nim bitwę, zabrał mu artyleryą. Lecz Puławski wraca zaraz do ataku, zwycięża Suwarowa, ubija mu 400 do 500 ludzi, odbiera swe działa a w dodatku dwa inne, odpiera go o ćwierć mili i idzie potem dalej. Moskal ochłonąwszy z przestrachu spieszy za nim, lecz w nowych spotkaniach, do których znów przyszło, było zawsze zwycięztwo po stronie konfederatów. W końcu przybywa Suwarowi w posiłku 1000 kozaków, ale teraz wolał doświadczyć podstępu, do którego każdy Moskal nawykł już z natury, niż narażać swe wojsko na bitwę otwartą''.

„Przekupiony jakiś z okolicy obywatel naprowadził Puławskiego fałszywem doniesieniem w zasadzki moskiewskie, lecz i to nie przyniosło korzyści. Polacy bowiem opłacili swą łatwowierność stratą kilku jedynie ludzi, a ubili Moskalom przeszło 100, zabrali im jeszcze dwa działa i wyszli zwycięzko po dwugodzinnej bitwie z zastawionych sideł. Puławski rozwinął w tej bitwie cały zasób środków, których mu dzielność, twórczy geniusz i doświadczenie w każdej dostarczały potrzebie.''

„Gdy okolica cała była spłoszona, a tem samem urzeczywistnienie powziętego zamiaru niemożliwe, postanowił powrócić, aby oddziału swego nie narażać bezcelnie na największe niebezpieczeństwa.''

„Odwrotowi swemu nadawał rozmaity kierunek, aby wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, który szedł za nim nieustannie. Mimo tego nie tracił go z oczu Suwarów i niepokoił przez całą drogę. Zabierając po drodze wszystkie z sobą oddziały, które mu się nawinęły, naciskał go razem

i z boków i z tyłu, i nie dawał mu chwili nawet wytchnienia.“

„Wśród takich trudności odbył Puławski w 17 dniach 50 mil drogi i nie dał się nigdzie obsaczyć. Wrócił do Częstochowy z 300 jeńcami i 5 działami, co zabrał wrogom w pięciu bitwach i dwudziestu przeszło potyczkach, w których zawsze był górą. Sam Suwarow wychwalał z uwielbieniem ten odwrót jego, uważając go za arcydzieło sztuki wojennej. Dwa razy jeszcze próbowali Suwarow i Łopuchin, czyli im się nie uda ubiedz Częstochowy nagłym napadem; lecz podstęp tyle przyniósł korzyści, co otwarta siła, a Puławski otrzymał się w posiadaniu twierdzy aż do końca wojny“.

Antoni Morawski,

rzeźnik, konfederat.

(Wspomnienie historyczne.)

Napisał *Jan Kanty Turski.*

XV.

Więc tak miły czytelniku,
Wiesz już wszystko o rzeźniku,
Co się swym toporem wsławił,
I Moskali djablo dławił.
Ale nie wiesz tego jeszcze,
Jako modlił się on szczerze,
Na wygnaniu tam w Sybirze,
Więc i o tem tu umieszczę.
On się modlił tam do Boga,
A oblicze miał tak blade,
Jako śmierć wygląda sroga,
Śmierć wywołana przez zdradę,
Modlił się o przebaczenie
Tej zdradzieckiej swojej braci,
Która się z carycą kaci,
I po kraju śle zwątpienie.
Modlił się ranami swemi,
Co bolały przypomnieniem.
Modlił się łzami krwawemi,
Co płynęły z ócz strumieniem,
A potem — zaciskał pięści,
Wiarą ducha krzepił jeszcze,
Bo miał to przeczucie wieszcze,
Że Bóg kiedyś nam poszczęści.
Więc się modlił z tą nadzieją,
Że nie upłynie lat wiele,
A w Polsce będzie wesele,
Aż się w niebie roześmieją...
Z tą nadzieją żył w tułactwie,
Tą nadzieją smutnych koił,
Co się tułali z nim w bractwie,
I nią blizny serca goił.
A gdy już gorzka łza bratnia,
Co życie z oka zadmucha,
Przyszła do niego ostatnia,
Z tą nadzieją oddał ducha.
Więc tak w śmierci jak i w życiu,
Morawski przez swoje dzieła,
Choć siedział sobie w ukryciu,
Choć dusza jego nie lgnęła
Ani do wielkich honorów,
Ani do sławy — wielkości,
Dowiódł, że ogniem miłości
Można usłużyć ojczyźnie.
A że cierpiał za Ojczyznę,
Więc jest chwały wart — i kwita.
Więc kto Polak niech to czyta,
I z czcią wielbi każdą bliznę,
Jaką rzeźnik konfederat,
Poniósł w boju za ojczyznę.
I — jak Moskwie on był nie rad,
Tak my jemu bądźmy radzi,
Więc i krzyknąć nie zawadzi:
Wiwat rzeźnik konfederat!

Koniec.

że nad sobą nigdy i nikomu żadnych praw nie zwykłam dawać.

Szumlański na te słowa stracił już prawie całkowicie przytomność, bo posuwając się jeszcze bliżej ku niej, zapytał z groźnym wyrazem twarzy:

— Więc to prawda o czem mi głuche donosiły wieści, a którym wierzyć nie chciałem? Więc prawda, że przyrzeczenia, jakie słyszałem z ust pani, były tak kruche? Więc prawda, że książę Talleyrand?...

Pani Tyszkiewiczowa na słowa te nagle powstała z krzesła, na którem siedziała i chwytając majora za rękę, głosem syczącym i jakby przez zęby, zawołała:



H. Ryland. **Studyum.**

Złudzenia.

Opowieść

z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

26) (Ciąg dalszy.)

Ona na ten ton podniesiony zmieszała się cokolwiek, ale zarazem zmarszczyła groźnie brwi, jak Junona, i zapytała także gniewnym, acz przyciszonym tonem:

— Praw? Jeżeli tu chodzi o moją osobę, to oświadczam wręcz i otwarcie,

— Więc zazdrość? Och, tego nie znoszę!

I spojrzeli sobie w oczy nie jak kochankowie, ale jakby wrogowie prawie, a przy pierwszem tem badawczem spojrzeniu u pani Tyszkiewiczowej szczególna zaszła zmiana.

O tem, że Szumlański był bardzo pięknym mężczyzną wiedziała ona dawno i bardzo dobrze, dotychczas widywała go zawsze w usposobieniu proszącem i niemal płaczącem. Teraz po raz pierwszy zjawiał się przed oczyma

jej z wyrazem prawdziwie męskiej energii w twarzy, z oczyma rozpłomienionemi, jak węgle, które świadczyły zarazem o gniewie, jaki w nim wrzał, tudzież o wewnętrznym wulkanie jego uczucia.

Czy spostrzeżenie to zyskało w niej łaskę dla niego, czy może chciała zażegnać wiszącą burzę i nie dopuścić do skandalu na zebraniu publicznem, dość, że naraz zmieniła wyraz swego spojrzenia, rękę jego, jak to bywało dawniej, ścisnęła, a że muzyka właśnie w tej chwili zagrała skocznego francuskiego kadryla, miękkim więc głosem i pochylając się prawie aż do ucha jego, szepnęła:

— Fe, panie majorze, fe, drogi Józefie, czyż ludzie takim węzłem, jak my złączeni, w ten sposób spotykać się powinni? Czyż długie obozowe życie zniszczyło w tobie ową elegancyę, jakąś dawniej celował nad wszystkimi? Czyś może zapatrzył się na dzikie obyczaje maurytańskich junaków?

Ton był tak serdeczny, a zarazem pełen tak łagodnych wymówek, że Szumlański sam już nie wiedział, co się z nim dzieje, i czując, że popełnił niestosowność, milczał zupełnie.

— Zamiast więc wymówek i sprzeczek przy pierwszem spotkaniu, nie odmawiaj mi raczej kadryla, do którego, z pogwałceniem wszelkich praw etykiety, zapraszam cię pierwsza.

Major, nie wychodząc wciąż z tego oszołomienia, w jakie go wtrąciła owa nagła zmiana usposobienia hrabiny i ta szczególna jej teraz uprzejmość, pokłonił się tylko głęboko i podawszy jej ramię, szedł tam, gdzie formowały się pary do tańca. Pani Tyszkiewiczowa nie poprzestała na tej jednej łaskawości, ale oparłszy się mocno na jego ramieniu, szepnęła mu dalej:

— A czy pamiętasz pan owego kadryla w zamku przed laty?

— Och, pani!

— I masz go bardzo dokładnie w pamięci?

— Wszak wtenczas po raz pierwszy wzeszła jasna gwiazda mojego żywota; a jeśli już wspomnieniom wolno się odzywać, czy pani raczy sobie przypomnieć, co nastąpiło po kadrylu owym?

— Kobiet nikt nigdy nie posądzał o krótką pamięć.

— Jeśli więc drogie owo dla mnie wspomnienie nie zaginęło, niech się pani nie dziwi, że z jasnym jego obrazem w duszy przez świat wędrowałem, że tęsknota ustawiczna pędziła mnie w te strony i żem, powróciwszy, śmiał powoływać się na uzyskane, a raczej udzielone mi łaskawie prawa, bo są to zarazem prawa mojego istnienia.

Teraz ona milczała, a tylko kiedy niekiedy rzucała na niego pełne miłości spojrzenia, zwalniając ustawicznie kroku, jakby pragnęła, aby ta ich wędrówka trwać mogła wieki całe.

Szumlański więc ośmielony, stawał się coraz bardziej wymownym i zniżając głos, szepnął:

— Ach, w owym gaju pomarańczowym, czy też cytrynowym...

Ona uderzyła go wachlarzem po ręku, dodając z grymasem:

— *Mechant!...*

Potem dorzuciła jeszcze:

— Jacy wy jesteście dziwni egoiści! A owoż wspomnienie, które cię tak raduje, czyż nie powinno zarazem duszy twej napełnić rozpaczą na myśl, że stało się ono przyczyną wielkiej boleści, długiej choroby — i może starganego życia?...

Szumlański niemile podrażniony tem przypomnieniem, chciał robić wymówki, ale już czasu na to nie było, gdyż oboje stanęli w tanecznem kole i pierwsza figura już się rozpoczęła.

Kadryl podówczas, dzięki kilkoletniemu mentorowaniu Francuzów, zapanował wszechwładnie w towarzystwie polskiem i nawet wyparł stamtąd ochoczego mazura. Polacy wszakże i w tym tańcu zaprowadzili pewną zmianę, zrobili go mniej ruchliwym, mniej kręcącym się i skaczącym, a więcej poważnym, więcej zbliżonym do uroczystego ich poloneza. W tańcu zaś tak wykonywanym nastręczała się wielka sposobność do rozmowy, z której Szumlański nie zaniedbał korzystać.

Kiedy taniec skończono i kiedy damę swą odprowadzał na miejsce, byli już ze sobą w zupełnej zgodzie i porozumieniu. Szumlański czuł się u szczytu szczęścia. Przestał wierzyć wszystkim trapiącym go obawom i wszystkim plotkom.

Napróżno na drugi dzień opowiadali mu wszyscy w Warszawie skandale o stosunku pani Tyszkiewiczowej do Talleyranda. On temu nie wierzył, a potrzebował niezmiernej energii i wielkiego panowania nad sobą, aby tym kłamcom i oszczercom, jak ich w duszy nazywał, w oczy nie plunąć, na rękę ich nie wyzwać i tym sposobem nie zdradzić tajemnicy uczucia, o zachowanie której prosiła go tak usilnie pani Tyszkiewiczowa.

Ponieważ zaś czuł, że zbyt długo powstrzymywać się nie zdoła, ponieważ nadto o tem, o co mu głównie chodziło, upewnił się i uspokoił, lubo więc mógł jeszcze zabawić w Warszawie przez czas pewien, nie zrobił jednak tego, lecz zameldował się w ministeryum wojny, przedstawił swoje papiery, uzyskał przyjacielski uścisk dłoni od naczelnego wodza, księcia Józefa i popędził coprędzej na miejsce nowego swego przeznaczenia.

Do chwały, do czynu, rwał się on teraz gorliwiej jeszcze, niż dawniej, a ponieważ przypuszczał, że nie będą mu tu teraz stawały na zawadzie przeszkody, jakie spotykał pod chorągwiami francuskiemi, nanowo więc marzył nietylko o odznaczeniu się, ale i o zaszczytach.

A Ewunia? Ona wprawdzie nie popadła w ciężką chorobę, jak niegdyś, ale dla niej było to może jeszcze gorsze, gdyż smutek tem głębiej wżarł się w jej duszę, a wyspowiadać się z niego nie mogła przed nikim, bo wiedziała aż nadto dobrze, że wszystkie pragnienia jej są niedoścignione. Zapadała więc w coraz większą melancholię, a gdy ją pani Sołtykowa nacierała pytaniami o przyczynę tego szczególnego smutku, jedyne słówko, jakie jej się coraz częściej wykradało, był wyraz: „Klasztor“.

A w owym pociągu do klasztornej ciszy nie było nic przesadnego, nic marzycielskiego, nic chorobliwego. Bo jakkolwiek społeczeństwo ówczesne wzdychało jak najmniej do życia zakonnego, to jednak Ewuni lata dziecinne upłynęły pod pieczą zakonnic i kiedy dzisiaj w strapieniu swem myślą sięgała do owej przeszłości, kiedy sobie przypomniała, jak jej tam było spokojnie, zacisznie i błogo, coraz większej nabierała nadziei, że może w tych murach samotnych zabliźniłaby się jej rana sercowa, a habit zakonny uśmierzyłby jej cierpienia.

Żeby jednak milionową dziedziczkę robić zakonnicą, na to nie zgodziłaby się nigdy pani Sołtykowa, a skoro dostrzegła, że perswazya w tym względzie nie pomaga, liczyła coś na czas i tem gorliwiej wytężyła swoje usiłowania, aby próżne, jak myślała dotychczas serce dzieweczki zająć kimkolwiek, choćby przelotnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GRAJEK.

Wesoło, wesoło
Tańczyli w około,
I ona... Magdusia tańczyła
Do koła, do koła
A taka wesoła,
Jaka nigdy ze mną nie była.
Ja skocznie im grałem,
Na ustach śmiech miałem
A serduszko moje płakało,
Że ona, że ona
Jankowi w ramionach,

Kwitnęła... a ja ją kochałem...
A ręce mi drżały,
Z pod smyczka jęczały
Na skrzypeczkach tony faliste,
Takie tęskne, rzewne
Takie smutno-śpiewne,
Jak płacz, łzy dzieciny przeczyste...
— Skrzypce ci rozwale
Rzekł Janek zuchwale
Czy to dla umarłych przygrywasz?
Masz tu, graj! „szóstaka“
Cięto Krakowiaka!
Nie chcesz? o Magduś się gniewasz?
Magdzia przy nim stała
I śmiała się, śmiała.
Ja spojrzawszy na nią nieśmiało,
Podniósłem dumnie czoło
I grałem wesoło,
Choć serduszko we mnie konało...
Jantek z Bugaju.

(Powyższy wiersz pochodzi z pod pióra poety — włościanina z Galicyi. Tomik wierszy Jantka z Bugaju (pseudonim) wydała księgarnia D. E. Friedleina w Krakowie p. t. „Blade kwiaty z wiejskiej chaty.“ Setki tej książki rozeszły się w Poznańskiem. Drugi tomik wierszy jest gotowy do druku. -- Przyp. Redakcyi.)

Bogactwo węglowe Bułgaryi.

Nie zawsze ludność tych lub owych okolic zajmuje się wydobywaniem bogactw z łona ziemi, na której od wieków zamieszkuje. W Bułgaryi naprzykład, mającej bogate pokłady żelaza i węgla, ludność zajmuje się prawie wyłącznie rolnictwem i hodowlą bydła. Przemysł bułgarski leży dotychczas w uśpieniu, chociaż ma on wielką przed sobą przyszłość.

W Bałkanach centralnych znajdują się bogate pokłady węgla kamiennego, doskonałego gatunku, mogącego rywalizować z węglem sprowadzanym z Anglii. Odznaczają się one tem, że leżą w nieznacznej głębokości ziemi, niekiedy nawet zupełnie na wierzchu, w postaci dzikich skal czarnych. Szczególne to położenie jest wynikiem „przemieszczeń“ geologicznych. Przyczyny, bliżej dotychczas nie zbadane, wywołały wielki przewrót w układzie warstw skorupy ziemskiej na dzisiejszym półwyspie Bałkańskim. Formacye, które były na wierzchu, dostały się w głąb ziemi, inne zaś z głębi ziemi na wierzch zostały wyrzucone. Bułgarya nie przedstawia w tym względzie wypadku odosobnionego, w każdym jednak razie rzuca on się tam jaskrawo w oczy.

Okrąg węglowy bułgarski znajduje się na południe od miasta Tyrnowa, starego, historycznego grodu, będącego niegdyś stolicą carów Bułgaryi. W Tyrnowie więziony był Baldwin, książę Flandryi, zięć cesarza Bizantyńskiego i tam śmierć znalazł. W Tyrnowie ogłoszono konstytucyę w r. 1878-ym, tam urodził się słynny polityk bułgarski Stambułow, tam też obrany został dzisiejszy książę Ferdynand.

W obrębie owego terenu węglowego znajdują się liczne miejscowości wsławione w ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej. Niedaleko od Tyrnowy leży Plewna, słynna oblężeniem i uporem Osmana-paszy, który przez kilka miesięcy bronił się po bohatersku, aż wreszcie uledz musiał taktyce znakomitego generała-inżyniera Totlebena.

Kraj to dziki, skalisty, zimny, a jednak pełen uroku niezwykłego, pełen poezyi, zasiany mnóstwem wiosek i osad, zamieszkałych przez ludność ruchliwą, przedsiębiorczą, a przedewszystkiem miłującą swój kraj całem sercem i gotową każdej chwili złożyć swe życie w jego obronie.

W odwiecznych lasach tych okolic formują się zazwyczaj owe oddziały „macedońskie“, walczące za ideę oswobodzenia Macedonii z pod panowania tureckiego i zapewnienia jej wolności.



Strumień Hańska Reka, płynący wśród złomów węgla kamiennego.

Przemysł węglowy w owych okolicach znajduje się dopiero w zaczątku. Brak odpowiednich kapitałów, głównie zaś środków komunikacyjnych nie pozwala na jego rozkwit. A jednak nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później Bułgarya stanie się dostawczynią węgla dla wszystkich państw półwyspu Bałkańskiego, które obecnie sprowadzają ten materyał opałowy z najrozmaitszych stron Europy.

Na południe od Tyrnowa znajduje się wieś Radewce. Jest ona niejako środkiem całego okręgu węglowego. Eksploatacya węgla odbywa się tu już od lat kilkunastu, ale w sposób nadzwyczaj pierwotny. Ilość wydawanego węgla jest niewielka, albo też nie ma sposobu dostarczenia go konsumentom.

W roku zeszłym sejm. bułgarski (tak zwana skupszczyna) postanowił zbudować kolej, przecinającą cały okręg węglowy. Dotychczas jednak nie rozpoczęto robót budowlanych.



Wieś bułgarska Radewce z bogatemi pokładami węgla.

W niektórych miejscach węgiel znajduje się zupełnie na wierzchu i ulega powolnemu rozkładowi pod wpływem powietrza i wody. Niezwykle oryginalnym jest widok strumienia Hańska Reka, płynącego po złomach węglowych. *M.*

Z za Oceanu.

(Pomoc dla Królestwa. — Wiec w Buffalo. — Sprawa polskiego seminaryum duchownego. — Kasowanie polskich patronów — Prasa amerykańska o Polakach.)

Wieści z Królestwa o nędzy, szerzącej się tam wskutek zaburzeń politycznych w szerokich kołach ludności, poruszyły do głębi Polonię amerykańską. Energiczną akcyę w celu niesienia pomocy głodnym rodakom w Królestwie podjęły tam natychmiast wszystkie większe a ściślej zorganizowane środowiska polskie. Pierwsze ruszyło się Buffalo. Utworzył się tam w tym celu komitet pod przewodnictwem znanego zaszczytnie lekarza obywatela dra Fronczaka, który na dzień 3 grudnia zwołał wielki wiec polski. W odezwie, wydanej do tamtejszej kolonii polskiej powiedziano, że wiec ma się zebrać, ażeby zaprotestować przeciwko gwałtom rosyjskim, wezwać cały ogół polski na wschodzie Stanów Zjednoczonych do niesienia pomocy materyalnej Polsce, dopominającej się o swe prawa — odezwać się po bratersku do narodu rosyjskiego, który zarówno z nami walczy o swoje prawa, by w walce tej o przyszłość szedł z nami jak brat a nie jak wróg — wreszcie dowieść całemu światu, że nawet tułacze na obcej ziemi nie zapomnieli o swej Ojczyźnie Polsce i solidaryzują się z walczącymi o wolność braćmi w Europie.

Wiec ten miał przebieg wspaniały. Po szeregu mów patryotycznych, uchwalono pełen godności adres do kongresu ziemców rosyjskich i drugi, bardzo serdeczny do braci w Królestwie na ręce Henryka Sienkiewicza i upoważniono komitet, aby wypracował i na ręce prezydenta Roosevelta, jako rzecznika pokoju wniósł protest przeciwko gwałtom rządu rosyjskiego. Otwarta na wiecu składka przyniosła natychmiast 88 dolarów.

Za przykładem kolonii polskiej w Buffalo poszły rychło kolonie w Chicago i Milwaukee. Zarząd Związku narodowego polskiego wydał odezwę do wszystkich grup swoich, aby również urządzały wiece i uchwalały wypracowane przez zarząd rezolucye. Już w kilka dni po wiecu w Buffalo komitet tamtejszy miał dla braci w Królestwie ze składek publicznych 1672 dolary, z których 1500 przesłano telegraficznie do Warszawy. — W tym samym czasie Polki chicagowskie zebrały 800 dolarów, w Milwaukee wreszcie złożono w kilku dniach 700 dolarów. Jeżeli składki dalej popłyną tak obficie, zbierze się tam suma bardzo pokaźna. Świadczy to o gorącej miłości ojczyzny i narodu u Polonii amerykańskiej.

Polsko - katolickie dzienniki amerykańskie i księża tamtejsi roztrząsają wciąż jeszcze plan ks. arcybiskupa Symona, aby w Krakowie powstało polskie seminaryum duchowne dla Ameryki. Większość głosów, które się w tej sprawie odezwały dotychczas, nie jest zbyt przychylna temu projektowi. „Polak w Ameryce'', polemizując z irlandzko-katolickim organem „Catholic Citizen'', występującym zawzięcie przeciwko ewentualnemu zamianowaniu biskupów polskich dla Ameryki, pisze:

„Seminaryum amerykańsko-polskie w Krakowie może być pożytecznem, nikt o tem nie wątpi, ale koniecznem nie jest. Tuszymy, że arcybiskup Symon, zanim pomyśli o tem, coby nam mogło być pożytecznem, postara się najprzód o to, co nam jest niezbędnie potrzebnem i koniecznem, t. j. o biskupów polskich, czyli o Pasterzy we właściwem słowa tego znaczeniu. Gdyż według nauki Kościoła tylko biskupi posiadają pełnię kapłaństwa i pasterstwa, a księża są li tylko ich pomocnikami. Gdy biskupi polscy w Ameryce będą, to znajdą się i fundusze na seminaryum w Krakowie i na inne pożyteczne instytucye''.

Mniej jeszcze przychylnie wyraża się o tym projekcie w rzeczonem piśmie jeden z księży amerykańskich. Wątpi on wogóle, czy zrealizowanie projektu tego byłoby możliwe, radzi więc pomyśleć raczej o założeniu polskiego seminaryum duchownego w Ameryce, któreby wprost podlegało papieżowi, poczem pisze:

„Na budowę seminaryum w kraju, z Ameryki mało ktoby co dał, a w kraju nikt nic nie da, tłómacząc się, że w Ameryce jest bogactwo. Teraz każdy teolog stara się amerykańskiemu biskupowi przypodobać, dlatego czuje i myśli po angielsku, a raczej po amerykańsku, a nie po polsku, a dzieje się to także z bojaźni przed biskupami. Przecież i uniwersytet we Fryburgu jest pod opieką papieża, tak samo kolegium polskie w Rzymie. Dlaczegóżby w Ameryce tak być nie mogło? Wówczas biskupi amerykańscy nie mieliby prawa mięszać się do niego. Naturalnie, na czele takiej instytucyi musiałby stanąć biskup polski''.

Gorące te pragnienia otrzymania biskupa-rodaka zrozumieć łatwo, gdy się czyta, na jakie to szkody i przykrości ze strony obcych biskupów Polacy amerykańscy narażeni są pod względem swej narodowości w sprawach kościelnych. — Niektórzy z tych biskupów dopuszczają się nadużyć w tym kierunku, których mogliby im pozazdrościć najgorsi biskupi germanizatorscy w Prusach. Dość powiedzieć, że „kasują'' oni nawet — patronów polskich.

„W naszych parafiach polskich — pisze jedno z pism amerykańskich — zdarzają się takie rzeczy, które wprost w osłupienie mogą wprowadzić niejednego myślącego człowieka. Przed kilku laty w Grand Rapids Mich. powstała parafia pod wezwaniem św. Stanisława. Ten święty nie znalazł łaski w oczach ks. biskupa, bo był Polakiem, więc biskup zdetronizował go, a nadał parafii za patrona św. Izydora. Teraz znów w Chicago zaszedł podobny wypadek. Istniała tam polska parafia pod wezwaniem św. Floryana, a ponieważ i ten święty jest przez Polaków uważany za patrona, więc tamtejszy ks. arcybiskup postanowił usunąć go i nadać parafii za patronów św. Młodzianków. W Ameryce zatem i polscy święci nie mogą być pewni swej opieki nad kościołami, wybudowanemi pod ich wezwaniem''.

Z dyskusyi nad temi sprawami dowiadujemy się, że w wolnej Ameryce władze municypalne lub policyjne mają większe prawo mieszania się — w kwestyach bezpieczeństwa publicznego do niektórych spraw kościelnych, niż w Europie. Istnieją tam n. p. przepisy, zabraniające w kościołach stać w gankach między ławkami, a władze policyjne niejednokrotnie już wkroczyły, gdzie tego przepisu nie zachowywano.

Wypadki w Królestwie zwróciły także uwagę prasy anglo-amerykańskiej na położenie tamtejszej ludności polskiej. Większe dzienniki zamieściły ilustracye warszawskich manifestacyi narodowych w dniu 5 listopada, dłuższy zaś sympatyczny artykuł o Polakach pojawił się w „Milwaukee Daily News''. Pisze ona między innemi: „Srogie gwałty nie zdołały stłumić narodowych aspiracyi polskich. Przemoc była bezsilną w stłumieniu myśli narodu i w zgnieceniu tęsknoty w ich sercach. Polska dzisiejsza jest niemniej Polską, jaką była za czasów niepodległości narodu.''

Myśli i zdania.

Każde serce człowiecze jest oberżą: cnoty bawią tam w przejeździe, błędy przebywają stale, a nietylko za nic nie płacą, ale jeszcze sobie płacić każą, i to niekiedy grubo.

†

Sp. Józef hr. Tyszkiewicz

zmarły w Poznaniu, dnia 9-go z. m. w 54-tym roku życia, zięć Władysława hr. Łąckiego z Posadowa, był gorącym patryotą tak jak brat jego Władysław (patrz portret zamieszczony w nr. 49-ym „Pracy“) skazany obecnie na banicyę przez rząd rosyjski.

Nieboszczyk całem sercem ukochał biedny lud — jemu też całą duszą się oddał: można powiedzieć, że człowiek ten „żył tylko dla dobra bliźnich swoich — braci.“ Rozumiejąc, że człowiek służyć winien społeczeństwu, oddał się z zaparciem siebie tej służbie pod hasłem:

„Bo nad wszystkie nasze powinności
Jest największa — nieść ulgę cierpiącej ludzkości!“



Śp. Józef hr. Tyszkiewicz.

Więc mając w sercu wyrytą dewizę: „res sacra miser“ wypatrywał — i wysłuchiwał, gdzie bieda, głód, nędza — i ból... i wchodził pod strzechy... karmił i odziewał, rany goił i łzy ocierał! To też wszyscy, którzy we Lwówku i całej jego okolicy za jego grosz otrzymywali żywność od piekarzy i rzeźnika — wszyscy, którzy w Poznaniu za jego grosz leżeli w szpitalu — ci wszyscy wznoszą dziś do Boga modły za spokój jego zacnej duszy, a zarówno i o błogosławieństwo dla jego w nieutulonym pozostałej smutku zacnej towarzyszki „dni jasnych i szarych.“

Zmarły wydał „Tyszkiewiczianę,“ dzieło wysoko cenione przez znawców sztuki i historyi, on to zdołał w swem życiu zebrać znaczne i piękne zbiory dzieł sztuki i literatury.

Cześć pamięci dobrodzieja ludu i dzielnego patryoty!

†

Sp. Marya Rutkowska.

W Jaguszewicach, w jednym z najpiękniejszych majątków Michałowskiej ziemi w Pr. Zachodnich, zakończyła dnia 10-go z. m. żywot doczesny *ś. p. Marya z Rutkowskich Rutkowska* w 96-tym roku życia. Zacna matrona w całem tego słowa znaczeniu zeszła z tego świata, bo życie jej było pełne zasług i poświęcenia. Urodzona w Królestwie Polskiem i skoligocona z magnackiemi rodzinami Skarbków, Platerów i Wołowiczów, oddała swą rękę jednemu z bardzo zamożnych obywateli Pr. Zachodnich ś. p. Józefowi Rutkowskiemu, dziedzicowi Jaguszewic i Piecewa, z którym przeżyła około lat 30. W tym czasie była ona pomocnicą męża, któremu starała się osłodzić trudny zawód rolnika i zajętego licznemi pracami obywatela. Niestety mąż wcześnie ją odumarł, bo już w r. 1868, a po tej niepowetowanej stracie, pokryła się żałobą, której już do śmierci nie zdejmowała i mało co z domu wyjeżdżała.

Od tej atoli chwili, gdy została dziedziczką Jaguszewic — cnoty śp. Maryi Rutkowskiej w całej pełni zajaśniały. Bogobojna, miłosierna, hojna gdy szło o ulżenie biedy lub poparcie dobrego celu i jakiej z naszych dobroczynnych instytucyi, bo doprawdy nie masz takiej, której by śp. Marya stale nie popierała. Dla swej czeladzi była dobrotliwą panią, a mianowicie zajmowała się dziećmi ludzi swoich. I tak np. widząc ujemne skutki nowszego systemu szkólnego na wychowanie dzieci, zakłada u siebie Ochronkę, którą przeznacza na szkołę prywatną dla dziatwy swego majątku. W Ochronce tej — urządzano także teatrzyki i pouczające zabawy. A ochronka w Jaguszewicach istniała, aż do czasu zamknięcia jej przez policyą i zakazu nauczania pod groźbą kar znacznych.

Staropolską gościnność, którą wraz z mężem się odznaczała, zachowała i po śmierci tegoż. W Jaguszewicach odbywały się liczne zjazdy i zabawy o nastroju podniosłym, przypominającym dawne minione czasy. Bo też ozdobą zebrań towarzyskich była śp. Marya Rutkowska, osoba wysoce wykształcona i ujmującego obejścia.

Bodaj najpiękniejszą stroną w życiu śp. Maryi była gorąca miłość Ojczyzny, tej nieszczęśliwej naszej Matki rozdartej, nad której losem tak bardzo bolała i tyle czasu dla niej w modlitwie poświęcała. Kochała ona całą Polskę, kochała wszystkich braci rodaków, kochała cząsteczkę Ojczyzny, tę piękną ziemię swego majątku, którego za nic w świecie oddać nie chciała. „Nie sprzedam ziemi mojej chociażby mi za nią górę złota położono,“ otóż odpowiedź zgasłej matrony na namowy do sprzedaży niektórych osób, które uważały, iż sędziwa obywatelka-wdowa w Warszawie lub w Poznaniu wygodniejszy i dostatni żywot pędzić by mogła. I rzeczywiście utrzymała majątek w całości, aż do końca swego rzadko długiego żywota.

Gdy w roku 1863 wybuchło powstanie, a śp. mąż jej pospieszył na szerszą arenę działania wraz z bliskimi kuzynami jak śp. Ignacy Łyskowski i Natalis Sulerzyski i t. d., śp. Marya popierała w domu podjętą sprawę, bądź utrzymując przejeżdżających bojowników, bądź przechowując broń i prowianty. I spotyka ją za to zasłużona kara, bo zostaje aresztowaną i odstawioną do więzienia w Brodnicy, a na-



Śp. Marya Rutkowska.

stępnie do Moabitu, w którem ta zawsze wątła istota czas dłuższy przebywać musiała.

Sp. Marya Rutkowska przechodziła w czasach ostatnich wiele zmartwień, ponieważ trudności z prowadzeniem gospodarstwa i interesów się piętrzyły. Dzięki niestrudzonym zabiegom najbliższej rodziny — interesa uregulowano, i śp. Marya do końca przebywać mogła w swoich komnatach, do których tak się przywiązała i zasnęła na wieki w swej starej sypialni wśród drogich pamiątek z minionej przeszłości. Pochowaną została przy przepięknym kościółku Jabłonowskim, na miejscu oddawna na ten cel przeznaczonem — obok miejsca wiecznego spoczynku swej najlepszej przyjaciółki i towarzyszki — nieodżałowanej pamięci Bogumiły Łempickiej!

Spoczywaj w pokoju zacna Matrono, i niech Ci ta ziemia, którą tak bardzo kochałaś, lekką będzie!

Szanujmy język ojczysty!

Germanizmy i prowincyonalizmy powszechnie w mowie polskiej używane.*)

(Ciąg dalszy).

101. Do *fajerkasy* płacę rocznie 52 marki. — Do kasy towarzystwa zabezpieczenia od ognia płacę rocznie 52 marki, albo tylko krótko: Do kasy ogniowej płacę 52 marki rocznie.

102. Złóż ten papier w *rolkę!* — Złóż ten papier w trąbkę!

103. Zabiorę tę paczkę, gdy wrócę *z powrotem* od brata. — Zabiorę tę paczkę, gdy powrócę od brata.

*) Za każdem złem zdaniem, zawierającem germanizm lub prowincyonalizm, zamieszczone jest zdanie oczyszczone z tych naleciałości.

(Więc ten N. nie szedł sam, ale z kimś, co się nazywał „Powrót.")

104. Bardzo zeziąbłem na *wasze.* — Bardzo zeziąbłem na warcie — na straży.

105. Mój syn jest dwadzieścia lat *stary.* — Mój syn ma dwadzieścia lat lub liczy dwadzieścia lat.

106. Zamknij okno, bo jest wielki *cug — cugluft!* — Zamknij okno, bo jest wielki przewiew — przeciąg.

107. Mój syn dostał pierwszą *culagę.* — Mój syn dostał pierwszy dodatek — pierwszą podwyżkę.

108. Do Charlottenburga pojedziemy *ryngbaną.* — Do Ch. pojedziemy koleją okrężną — okólną, gdyż okrąża czyli okala miasto Berlin.

109. Dziś zimno, więc *muszę* oblec *jakę.* — Nie musisz, mój bracie, tylko chcesz! — Gdy chodzi o życzenie jakieś, mówi się: „trzeba" — a więc: „Dziś zimno, trzeba więc oblec kaftanik (kaftan.)

110. Dziś odbyła się *inwestytura* księżny R. w obecności jej rodziców i t. d. — Dziś odbyły się uroczyste obłóczyny księżny R. t. j. przyjęła habit zakonny czyli suknią zakonną.

111. To szykowny *żakiet* (z fr. jaquet — szykowny od niem, geschickt). — To zgrabny kabacik — kabat. — To zgrabna dziewczyna, a nie: „szykowna.

112. N. N. ma wielki *warsztat* stolarski — krawiecki — szewski. — Nie



M. Schmidt. **Ciekawa opowieść.**

wiem rzeczywiście o co tu chodzi: czy o stół, przy którym pracują, czy też o miejsce, w którem się praca odbywa. Jeżeli chodzi o miejsce, wtedy mówimy: pracownia stolarska; — szewska; u krawców „szwalnia;“ u ślósarzy i kowali „kuźnia;“ u tokarzy (nie „dreślarzy“) tokarnia. — Gdy się odnosi do stołu, na którym lub przy którym pracują, mówimy: „ławka“ lub *„stół stolarski — stół krawiecki — szewski.“*

113. Nie wierzę mu, bo mnie kilka razy zostawił *w sztychu*. (Er hat mich im Stiche gelassen). — Nie wierzę mu, bo mnie kilka razy zawiódł; nie mogę się na niego spuścić — nie mogę mu zaufać.

114. W tych węglach jest dużo *szlaków*. — W tych węglach jest dużo żużli (od wyrazu „żużel“).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* * *

Berlin, 4. 12. 1905.

W artykule: „Szanujmy język ojczysty!“ — zaszła pomyłka pod nr. 91. Czy pomyłka ta zakradła się (w poprawce) z mojej — czy też z drukarza winy, nie mogę tego obecnie stwierdzić. Zdanie to powinno brzmieć w poprawce: „Nabawiłem się *febry* (zamiast, jak tam stoi: „dostałem febrę).“ Proszę uprzejmie, aby błąd powyższy poprawić raczono. *Fr. Ch.*

* * *

Z miasta, 8. 12. 1905.

Do nr. 96. Mówimy także: pachnie cebulą.

Do nr. 97. Mówimy także: rzucił mnie kamieniem (kto ciebie kamieniem...)

* * *

Berlin, dnia 7. 12. 1905.

Odpowiedź Czytelnikowi „Pracy“ na zapytanie z dn a 6. 12. 05.

Nr. 88. „Korkociąg“ znaczyłby, że *korek* coś ciągnie, jak „deszczochron“ (Regenschirm) chroni *deszczu*. W pewnej okolicy mówią „brożek“ od wyrazu „bróg“ (stóg — sterta), zamiast parasol lub deszczochron. — Gdybyśmy niemiecki wyraz „Bartbinde“ tłomaczyli na polskie prawie dosłownie „wąsoduś“ lub „wąsogładź“, znaczyłoby że was coś *dusi* lub *gładzi*. Zupełnie inne będzie znaczenie tego wyrazu, gdy powiemy: *„dusiwąs“* lub *„gładziwąs“*. Tylko jeden wyraz błędnie złożony, nabył w mowie naszej prawo obywatelstwa tj. *„wodociąg.“* Prawdziwem jego znaczeniem podług układu wyrazów byłoby, *że woda coś ciągnie*.

Rzeczowniki złożone powstają w polskiem najczęściej z czasowników lub przysłówków i z rzeczowników, a nie: z rzeczowników i czasowników, np. pasibrzuch, mąciwoda, łapidusza (z gr. dyabeł), wiercipięta, wszędybył, zbijobruk, obieżyświat i td. — „Grajcarek“ nie jest wprawdzie wyrazem polskim, ale dawno u nas używanym, jak „hak“, „haczyk“ lub „hartować“ i jest lepszym, niż *„korkociąg“*. Zob. Małeckiego gramatykę języka polskiego lub Krasnowolskiego „o tworzeniu wyrazów złożonych“.

Nr. 89. Niech ów czytelnik zajrzy do gram. Małeckiego, Passendorfera, Krasnowolskiego albo do: „Elementarbuch der poln. Sprache A. Poplińskiego,“ a przekona się, że jego mniemanie jest zupełnie błędne. Rzeczownik „państwo“ tj. dwie osoby a nie kraj, odmienia czyli deklinuje się w liczbie pojedyńczej, a należący doń przymiotnik w liczbie mnogiej *np.:* Kochani Państwo, Kochanych Państwa, Kochanym Państwu itd. Przypominam sobie jeszcze z czasów szkolnych, że z całej klasy tylko ja i śp. St. Więckowski umieliśmy ten rzeczownik z przymiotnikiem dobrze odmieniać.

Nr. 92. Czytelnik ów ma zupełną słuszność. O tym błędzie i o błędzie (nr. 91), mówiłem na posiedzeniu „Tow. polsko-kat.“ dnia 4 bm., gdym nr. 49 „Pracy“ doręczył (pożyczył) sekretarzowi, p. Rakowskiemu. — Chciałem się krótko wyrazić, nie podając okoliczności, i opuściłem całe zdanie. Rzecz miała się, jak następuje: Pani M. L. z Rudz. w R. mówiła do swej pokojówki: „Pocechuj nowe ręczniki!“ Zwróciłem jej uwagę na to, że „cechować“ pochodzi od niem. „zeichnen“, a po polsku mówi się: „znaczyć bieliznę“. Pani L. poprawia się i mówi: „Poznakuj bieliznę!“ W odnośnym artykule opuściłem aż trzy zdania: „Poznacz bieliznę!“ (— Oznacz czas i miejsce! — Wyznacz jak najrychlej termin!) *Autor.*

Uwaga. Dlaczegoż pytający na pocztówce się nie podpisał?

Nasza ofiarność.

Złożyli:

Na Macierz Szkolną w Królestwie

Redakcya „Pracy“ 10 mrk.

P. Michał Skowroński z Duisburgu 2 mrk.

P. W. Bratkowski z Dülken 2 mrk.

„J. L. z Ołomuńca“ 10 mk.

P. Fitzner z Hamburga 2 mk.

Dotychczas złożono razem 256 mrk 40 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców

b) dla dziewcząt.

Na Czytelnie Ludowe

Na „Straż“

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu

Na elementarze dla biednych dzieci

Na Weteranów

z roku 1848-go

„ 1863-go

P. Wacław Jankowiak z Bruckhausen 2 mrk;

Razem wpłynęło dotychczas 72 mrk 77 fen.

Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 48 m. 20 fen; pozostaje mrk 17,95 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach

Zebrane od personału firmy Małuszek w Kępnie w dniu Sylwestra 3 mrk.

W. Jankowiak z Bruckhausen 3 mrk.

Na rodzinę Jana Wyciska

„J. L. z Ołomuńca“ 3 mk.

Dotychczas wpłynęło 77 mrk 65 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go z. m. dla pani Wyciskowej 74 mrk 65 fen; pozostaje mrk. 3.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie

Na głodnych w Królestwie.

Jeszcze czas odnowić przedpłatę na

„PRACĘ”

na bieżący nowy kwartał, gdyż poczta dostarczyć musi na żądanie zaległe numera.

Wobec srogiego ciosu, jaki dotknął tak wydawnictwo jak też redakcyę „Pracy“, wobec wielkich kar więziennych i kosztów, które na nas nałożono, upraszamy Szanownych Rodaków, aby przysparzali nam jak najwięcej nowych abonentów.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy, co się nad nami rozszalałe taraz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i hakatystom zaimponuje zdwojoną liczbą swych zwolenników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak też w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 mrk. 25 fen.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał z mieszczone są przed inseratami pod okładką.

Wiadomości.

— **Za liczne** nadesłane noworoczne życzenia dziękujemy na tej drodze najserdeczniej.

Redakcya.

— **Baczność.** Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe podanie nam miejsce zamieszkania ulicy i numeru domu, pana Stanisława Królikiewicza, który w końcu maja r. z. mieszkał w Poznaniu na Wildzie przy ul. Moltkego nr. 1.

— **Zwracamy** czytelnikom baczną uwagę na inserat *p. K. Kozłowskiego* dotyczący książki pod tytułem: *Jak pisać listy?* czyli *Nowy sekretarz polski.*

— **Dobry przykład!?** Pod takim tytułem podaje „Lech“, że Najprzew. ks. Arcybiskup oddał nadzór dóbr kościelnych *Bielawy Niemcowi* Küchlerowi z Sarbinowa. Ten Küchler ma żonę protestantkę, a otrzymuje za sporadyczne odwiedzanie Bielaw podobno aż 4000 mk. Tymczasem urzędnik Polak gospodaruje na Bielawach za lichą pensyjkę.

Wiadomość tę podajemy na odpowiedzialność „Lecha“. Niestety z doświadczenia wiemy, że jak w tym wypadku podobno Najprzew. ks. Arcybiskup — tak w wielu, bardzo wielu innych robią panowie polscy, posiadający rozległe dobra. Niestety! —

— **Walne zebranie Towarzystwa wyborczego na miasto Poznań** odbyło się dnia 28-go z. m. wieczorem na salce Domu przemysłowego, przy niezbyt licznym udziale członków. Przewodniczył wiceprezes p. mecenas Drwęski. Skarżono się na tych członków, którzy niegrzecznie obeszli się z kursorami, gdy przybyli po składkę. Postanowiono zaangażować tylko jednego kursora p. Hildebranda i wynagrodzić go dostatecznie. Wybrano dotychczasowy zarząd, który składali panowie: Józef Kużaj przewodniczący, St. Chociszewski sekretarz, Powidzki skarbnik, J. Drwęski, M. Kaniasty, Antoni Teski zastępcy. Do komisyi rewizyjnej wybrano pp.: Zenona Lewandowskiego, Karola Rzepeckiego i Krajnę.

— **Zakaz surowego obchodzenia się w szkole z dziećmi polskiemi.** Minister oświaty podniósł w rozporządzeniu, wystosowanem do rejencyi w dzielnicach polskich, że mianowicie na kresach wschodnich potrzeba koniecznie, aby karność szkolna była połączona z ojcowską powagą, ale zarazem z ojcowską miłością. Należy się wystrzegać przez niewłaściwe zastosowanie karności szkolnej zachwiania w dzieciach pochodzenia polskiego zaufania do niemczyzny. — Donoszą o tem nawet pisma hakatystyczne tego rodzaju co „Gesellige“.

— **Szmat polskiej ziemi** wykupił z rąk niemieckich p. Banasiński. Nabył on od kolonisty Karola Bautza 66 mórg obejmujące gospodarstwo w Dobrejnadziei w powiecie pleszewskim.

— **Piękny kawał ziemi** przy Niborgu na Mazurach wykupił z rąk niemieckich rodak nasz p. Kazimierz Łaski, syn p. Kazimierza Łaskiego ze Stawu w Prusach Wschodnich.

— **Frymarka ziemią.** Ze Starogardzkiego w Prusach Zach. donoszą „Gaz. Grudz.“, że posiadłość „Alt Busch“ pod Starogardem, należącą do p. Pawłowskiego, zakupił parcelator Moritz Friedländer z Bydgoszczy celem zdania tejże posiadłości w inne ręce — co też niebawem z pewnością nastąpi, gdyż Komisya kolonizacyjna z Poznania już swych taksatorów tamże była wysłała.

Jest to wprost ohydne, że takiemi krętemi drogami taka piękna posiadłość, która już od stu lat może była w polskich rękach, kolonizacyi się dostaje!

Z Kościerskiego w Pr. Zach. donoszą „Gaz. Grudz.“, iż komisya kolonizacyjna zakupiła Liniewko w tamtejszym powiecie. Jak wiadomo, nabyła ona już dawniej dobra rycerskie Liniewo i Lubiszyn, które teraz rozparcelowała. Dobra te należały dawniej do polskich właścicieli. — Tak więc wiele naszego biednego ludu roboczego straciło swój chleb i musiało go szukać gdzieindziej. Strach pomyśleć, jak wielką odpowiedzialność biorą na siebie ci, którzy zaprzepaszczają ziemię polską w ręce wrogów.

Z Janówca piszą do „Dziennika Poznańskiego“: Pan Józef Kaczmarek z Gruntowic w powiecie wągrowieckim pertraktuje z „Lanbankiem“ o sprzedaż swego 155 morgowego gospodarstwa i tylko chodzi o uregulowanie się z deputatem, którego bank przejąć nie chce, a rodzice Kaczmarka żądają za takowy nieco wygórowaną cenę.

P. Kaczmarek oświadczył mi na zapytanie, czy gospodarstwo swe sprzedać musi dla stosunków finansowych, że nie i że nawet co rok coś może odłożyć.

Dowiedziałem się też, że p. Kaczmarek jest od kilku tygodni członkiem „Straży“ a jako taki niepodobno, żeby się dał złudzić i zaprzepaścił ziemię polską.

Inne gazety proszę o powtórzenie

Strażak.

W Cerkwicy, w powiecie złotowskim sprzedał gospodarz Lambrecht swą 500-morgową posiadłość komisyi kolonizacyjnej za 40 tysięcy talarów. Komisya kolonizacyjna zapłaciła za morgę 240 marek. Przed dwudziestu laty zapłacił p. Lambrecht niecałe 20 tysięcy talarów. Chodziło kolonizacyi widocznie o to, ażeby folwarku tego nie kupił Polak p. Prądzyński ze Skarpi, który z p. Lambrechtem o zakupno poprzednio się już układał.

W „Lechu“ czytamy: Rozeszła się w Witkowie w dniu targowym wieść, o której wszędzie rozprawiają, że w niedaleko ztąd położonem Ostrowitem stara się kolonizacya nabyć kilkaset mórg — od 3 posiedzicieli sąsiadów. Nie możemy prawie temu dać wiary, aby p. P., na którego agenci komisyi głównie się spiknęli, a który posiada podobno około 400 mórg z pięknemi, prawie nowemi zabudowaniami, miał ten piękny majątek polski, dotąd zawsze w polskim ręku będący, zaprzepaścić, i imię swoje na wieki shańbić!

— **Zmiana własności.** Gospodarze pp. Bajerlein i Sellmann sprzedali 36 mórg ziemi za 155,900 mrk. przy ulicy Eichendorfa konsorcyum niemieckiemu. Grunt przy W. Berlińskiej ul. 9 sprzedał p. A. Duchowski z Miłosławia niemieckiemu „Kreditvereinowi“. Gospodarz p. Kaźmierz Gensler sprzedał swój grunt przy W. Berlińskiej ul. 75 za 200 tysięcy marek magistratowi poznańskiemu. — Handlar p. Rumianek w Nakle nabył na własność w drodze subhastacyjnej dom spadkobierców Lewyego w Nakle za 12 tysięcy marek.

— **Chrzty pruskie.** *W powiecie gostyńskim* przechrzczono następujące miejscowości: obwód dominialny Ciołkowo na Solkau, obwód dominialny Karzec na Kartzen, obwód gminny Dziczyna na Fuerstenwalde, gminę Miechcin ne Mexe, dominium Oczkowice na Otschkowitz, dominium Pijanowice na Conzenau, obwód gminny Struniany na Steinort, obwód dominialny Ziółkowo na Holdau.

W powiecie rawickim obwód gminny Dąbrówka golińska na Harte, Gerlachowo na Gerlach, Nadstawy na Gruenweiler, Pakówko na Wiesenrode. Płaczkowo na Lindenort, Skorzyn na Wiesenbach, Zaborowo na Bismarkseich, Zmysłowo pod Jutrosinem na Grunewald, Żylice na Schlitze.

W powiecie śremskim: Baranowskie olędry na „Lindenheim“, Budziń na „Ludwigsberg“, Gogolewskie olędry na „Luisenhorst“, Konarskie olędry na „Friedrichsberg“, Krosno na „Altkirch“, Niwkę na „Nifke“, Sowinieckie olędry na „Rohrwiese“ i Żabno (olędry) na „Waldhöhe“.

W powyższej sprawie „chrztów pruskich donosi berliński „Lokalanzeiger“, iż wyszło rozporządzenie królewskie nakazujące zmianę 97 nazw miejscowości w W. Ks. Poznańskiem na niemieckie, tak że teraz będzie tam 200 polskich miejscowości nosiło niemieckie nazwy. — Wiadomość tę potwierdzają tutejsze gazety niemieckie, a hakatystyczny „Tageblatt“ wymienia niektóre zmiany. Tylko nie rozumiemy, co „Lokalanzeiger“ pisze, że będziemy mieli 200 niemieckich nazw miejscowości, przecież my ich mamy daleko więcej. Gorączka germanizacyjna w tym kierunku nie oszczędza najpiękniejszych naszych staropolskich nazw i nadaje im „kulturne“ nazwiska, które tylko mylą się ustawicznie.

— **Ks. Robert Weymann** mianowany został — kanonikiem w mieście naszem w miejsce śp. ks. kanonika Krępcia. — Ks. Weymann nie wziął udziału w ostatnich wyborach do gnieźnieńskiej rady miejskiej. Oprócz niego jeszcze dwóch księży — Niemców — jeden kanonik, na wybory się nie stawiło, choć tu chodziło o walkę przeciw żydom i protestantom

— **Srem.** Posiadłość pani Komendzińskiej przeszła drogą kupna na własność panien Kadzidłowskich, które zamierzają tam wystawić nową kamienicę i przenieść doń handel win. Pani Komendzińska buduje zaś trzypiętrową kamienicę z składami na Starem mieście tuż przy moście.

Ludność Śremu powiększyła się w 5-cioleciu o 800 przeszło mieszkańców włącznie wojska.

— **Dortmund.** „Dz. Polski“ donosi o ciekawym wypadku, jaki zaszedł w ostatnich dniach w Dortmundzie. Otóż członkowie św. Wojciecha zebrali między sobą kwotę pewną na zakupienie mszy św. za poległych w walce z Prusakami w r. 1848 — Polaków. Tymczasem ksiądz proboszcz ich parafii nie przyjął tej mszy, usprawiedliwiając się rzekomo tem, że owi Polacy zbuntowali się przeciwko rządowi pruskiemu i walczyli nie w dobrej sprawie, lecz w złej. — Trzeba było pieniądze odesłać do stron ojczystych, gdzie mszą odprawi znany ksiądz patryota.

— **Z Galicyi.** *O sprzedaż ziemi.* Z powiatu dąbrowskiego piszą do „Nowej Reformy“: W powiecie dąbrowskim we wsi Siedliszowicach, Bremanowicach, Lubiecko, posiadała hr. Kwilecka około 1400 morgów ziemi. Część z nich wydzierżawiała od szeregu lat najuboższa ludność włościańska. Świadomość, iż ta ostatnia z chęci utrzymania się przy życiu, a bogatsza z zamiłowania do ziemi, nakłoniła niejaką Abdermankę, milionerkę tarnowską, oraz dwóch żabieńskich handlarzy Haberów do zakupna tych dóbr i do zaofiarowania ich na sprzedaż chłopom po bajecznej cenie 2400 koron za morgę, podczas gdy ich morga kosztowała 540 koron. Nadzieje świetnego zysku nie byłyby zawiodły, gdyby nie przeszkodził temu pochodzący z tamtych stron akademik Dubiel. On to przy pomocy posłów Stapińskiego i Bojki zorganizował strejk. Na odbytych wiecach zobowiązali się włościanie nie kupować ziemi, nie wydzierżawiać jej, ani też nie chodzić na robotę, tak długo, dopóki ceny nie będą odpowiadać rzeczywistej wartości. Nad wykonaniem uchwał wiecowych czuwał komitet, złożony z włościan i p. Dubiela. Strejk trwał już parę miesięcy. Wreszcie kilku z włościan strejk złamało, tak, iż w ostatnich czasach około 90 morgów zostało częścią kupionych, częścią wydzierżawionych. Stało się to dzięki temu, że po wsiach zaczęli się uwijać agenci, w szczególności niejaki Reich, którzy przyrzekali, że jeśli kto kupi jeden mórg, to drugi dostanie za darmo. Naturalnie tak Haberzy, jak Abdermanka ratyfikowali umowy kupna i dzierżawy, nie myśląc ratyfikować przyrzeczonej darowizny.

Chcąc zwrócić włościanom uwagę na to działanie, zwołał poseł Stapiński wiec na dzień 22 grudnia do Siedliszowic. Sam z powodu ważnych przeszkód zmuszony był z połowy drogi się wrócić. Na wiec przyjechał p. Dubiel i dr. Moskwa. Mimo gęstego deszczu i silnego wichru zastali przeszło 260 włościan na miejscu. Po wybraniu posła Bojki przewodniczącym, p. Dubiel, dr. Moskwa i poseł Bojko przedstawiwszy akcyę spekulantów, oraz ich pomocników, tudzież przedstawiwszy korzyści strejku, gorącemi słowy zachęcali do wytrwałości i solidarności. Skutek tych przedstawień był taki, iż włościanie postanowili nietylko wytrzymać w strejku i bojkotować opornych, ale ponadto bogatsi przyrzekli uboższym, a potrzebującym po parę zagonów pod kartofle wydzierżawić. Referenci zaś postanowili o działaniu spekulantów i ich agentów, a w szczególności p. Reicha, zawiadomić prokuratoryę.

Po powzięciu powyższych uchwał dr. Moskwa przedstawił zgromadzonym doniosłość reformy wyborczej. Po przemówieniu posła Bojki, p. Dubiela i kilku włościan, uchwalili wszyscy zebrani jednogłośnie rezolucyę domagającą się równego powszechnego, tajnego i bezpośredniego prawa wyborczego.

Analfabetyzm w Galicy. Wedle państw. konskrypcji z r. 1900 w całej Galicji ludności męskiej starszej ponad lat 12 jest 62'8$^0/_0$ analfabetów, a mianowicie 47'4$^0/_0$ analfabetów u ludności polskiej i 78'2$^0/_0$ analfabetów u ludności ruskiej.

— **Lipsk.** O Polakach i o polskich Towarzystwach w Lipsku podaje „Dzien. Berl.“ następujące szczegóły: Kolonia polska w Lipsku liczy obecnie około 1000 głów; Towarzystw polskich znajduje się w Lipsku 6. Towarzystwo przemysłowców polskich istnieje lat przeszło 20 i dobrze prosperowało, lecz podkopane przez socyalistów, chyli się do upadku. „Sokół“ przechodził także różne koleje. Obecnie jest najsilniejszym z Towarzystw polskich w Lipsku. Liczy członków 75, a istnieje lat 5. Towarzystwo robotników polskich, propagujące politykę socyalno-demokratyczną, nie ma widoków utrzymania się. Akademickie Towarzystwo jak „Bratnia Pomoc“, „Unitas“ i „Concordia“ rozwijają się wcale pomyślnie. W kościołach nabożeństwa (kazania) polskie nie odbywają się. Mający wkrótce odbyć się wiec polski w Lipsku podziała niezawodnie pobudzająco na kolonię polską.

— **Metz.** W końcu zeszłego roku złożyło tutaj dwóch rodaków z W. Ks. Poznańskiego egzamin na pomocników aptekarskich i to panowie Wiktor Radecki z Wągrówca i Albin Radecki z Krotoszyna.

Nekrologia.

† S. p. *Józefa z Wodzińskich Augustowa Kościelska,* matka członka Izby Panów i prezesa „Straży“, pana Józefa Kościelskiego, zmarła dnia 26 go z. m. w Warszawie w 80-go roku życia.

W smutku pogrążonemu synowi i całej rodzinie zasyłamy wyrazy najserdeczniejszego współczucia.

† S. p. *ks. Jubilat dr. Juliusz Zucht,* kanonik katedralny chełmiński, prałat domowy Ojca św. i t. d. dnia 27-go z. m. w 80-ym roku życia, a w 53-im kapłaństwa. Członkiem kapituły chełmińskiej był zmarły przez lat 35.

† S. p. *Adolf Kantorski,* dawniejszy zawiadowca poczty, dnia 29-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 70.

† Ś. p. *Wojciech Wojterski,* dnia 22-go z. m. w Poznaniu-Jeżycach.

† Ś. p. *Klaudya Szczaniecka,* dnia 26-go z. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się w Michorzewie dnia 29-go z. m.

† Ś. p. *Jadwiga z Andrzejewskich Urbanowiczowa,* dnia 27-go z. m. w Gnieźnie. Pogrzeb odbył się dnia 30-go z. m. w Gostyniu.

Ruch w Towarzystwach.

— **Kostrzyn.** *Towarzystwo Koła Śpiewu kościelnego* urządza w niedzielę, dnia 7-go stycznia, na sali p. Kietzmanna teatr amatorski. Odegrany będzie melodramat ze śpiewami i tańcami w 5-ciu odsłonach przez B. N. Bolesławskiego p. t. „Cygan Muringo czyli jaskinia potępieńca. Zakończy żywy obraz.

Początek przedstawienia o godzinie 7$^1/_2$ wieczorem.

Po przedstawieniu zabawa i tańce. O liczny udział życzliwych Towarzystwu prosi

Zarząd.

— **Poczdam.** *Pierwsza polska Gwiazdka w Poczdamie.* Towarzystwo polsko-katolickie pod opieką św. Wojciecha obchodzi w niedzielę, dnia 7-go stycznia o godz. 4-tej po południu na sali pana Ludloffa Thüringerhof Weisenstr. 4 swoją pierwszą uroczystość „Gwiazdki“.

W imieniu Towarzystwa Stanisław Radecki przewodniczący.

Dział szaradowy.

Arytmogryf kryształowy do nagrody.

W niżej zamieszczonych kombinacyach, liczby zamienić na litery tak, aby środkowe litery otrzymanych wyrazów, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko filozofa polskiego, żyjącego w XIX w.

5
4 3 5
2 1 9 1 18
8 3 9 10 11 11 10
4 12 13 10 4 14 15 16 3
5 3 9 10 4 4 15 8 1 4 18
3 6 10 4 15 16 3 9 17
8 3 9 8 3 9 3
19 9 1 11 17
1 4 3
18

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska.
2) Roślina krzyżowa.
3 Rzeka w Galicyi wschodniej.
4) Nazwa włoska stylu.
5) Liczba geometryczna.
6) Imię i nazwisko filozofa polskiego.
7) Imię męskie.
8) Imię żeńskie.
9) Naród.
10) Zdrobniałe imię żeńskie.
11) Spółgłoska.

Rozwiązanie szarady z nr. 52-go:

Przedstawienie.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Jan Badura z Grodzienia, Helena Banaszkiewicz ze Środy, Bernard Pawłowski z Zakrzewa, Marya Zborowska z Andrychowa, Maksymilian Maliński z Poznania.

Nagrodę otrzymała p. Seweryna Lewandowska z Psaczyna.

Humorystyka.

Z bruku warszawskiego.

Los Warszawiaka.

Dotąd kulę miał u nogi,
Co bolało go wciąż srodze;
Dziś ta sama — losie srogi!
Trapi w piersiach go, lub w nodze!

Kwestya kulinarna.

— Panie gospodarzu, czy konstytucya, którą pan ma obecnie na karcie, to rzecz łatwostrawna?

— To zależy. Podana *a la tschinownik,* w sosie *de cosaque,* może panu leżeć w żołądku długie lata kamieniem.

Potrawy na czasie.

Rosół z feldfebla.
Flaki obywatelskie.
Bigos partyjny.
Kotlety siekane a la plac Teatralny.
Główka cielęca a la Obskurjakow.
Konstytucya zapiekana w ostrym sosie.
Bryndza teatralna.
Bomby z kremem a la Bristol.

Skarżą się ludzie, że konstytucya została ogłoszona, ale nie wprowadzona. Nic dziwnego: przecież to była dopiero „zapowiedź", a jak wiadomo, do wesela trzeba trzech zapowiedzi. Czekajmy więc jeszcze na dwie.

Ogłoszenia drobne.

100.000 nahajek starego wypróbowaneg systemu Trepow, Durnowo i Co.

* * *

Z powodu zmiany warunków, natychmiast do odstąpienia za bezcen konstytucya, ani razu nie używana.

* * *

Petersburski skład zabawek poleca gry towarzyskie: „Najnowsza ciuciubabka: Hr. Witte i Ziemcy", „Klub Proskurjakowa" oraz wiele innych umysł i serce kształcących.

* * *

Podarki okolicznościowe! Wielki wybór niespodzianek na czasie. Bomby nadziewane kremem pyrokselinowym. Wyroby zagraniczne firmy „Brauning", „Smitt" i „Wesson" oraz innych. Kastety pralinkowe oraz inne fabrykaty, w zakres słodyczy wchodzące.

* * *

Potrzebna bona, Japonka, do dziewczynki: Konstytucyi.

Z etymologii rosyjskiej

(pochodzenie niektórych wyrazów). Trepow — trepat' — trzepać, bić. Plewe — od plewat' — pluć. Durnowo — nie wymaga objaśnienia.

Z ulicy.

Jeżdżą, tłuką, na kształt furyi,
Tu odważni. A w Mandżuryi?...

Tam i tu, czyli czem są w cesarstwie biurokraci warszawscy.

Tam gęsi cudze wypędzał na trawnik,
Tu — on profesor i „kłasnyj nastawnik".

Tam czyścił buty, jak zwyczajny ciura,
Tu — ekspedytor pocztowego biura.

Tam na pisarka wdrapał się pomału,
Tu — na kolei naczelnik wydziału.

Tam podoficer żandarmski — i basta!
Tu — przyjechawszy, jest burmistrzem miasta.

Tam za pijaństwo wylany eks-woźny,
Tu — żeńskiej szkoły „nadziratiel" groźny.

Tam dostał nogą, bo kradł nazbyt zgruba,
Tu — on jest kasyer, „czlen ruskawo kłuba".

Zmiana nazwy.

Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że oberpolicmajster warszawski rozkazał zmienić niezwłocznie nazwę ulicy „Wolność" na „Nahajkowską."

W biurze adresowem miasta Warszawy.

W tych dniach znalazłem się w biurze adresowem.

Poszukiwałem pewnej osoby, znanej mi ze słyszenia, a niewiadomej z obecnego miejsca pobytu. Po załatwieniu formalności przedwstępnych, opartych na szeregu jawnych i sekretnych postanowień obowiązujących, zwróciłem się do właściwego urzędnika i wręczyłem mu kartkę, na której wypisałem nazwisko poszukiwanej przezemnie osoby: *Sprawiedliwość.*

Urzędnik spojrzał na kartkę i zapytał:

— A *otczestwo* tej pani? Koniecznie otczestwo. Bez tego nic.

— Sądzę, że to zbyteczne. Ta pani jest jedna na całym świecie i drugiej tego samego nazwiska nie ma.

— Nu, dobrze. A jak się bez otczestwa nie znajdzie, wtedy pan musi kupić nową kartkę za trzy kopiejki.

— Kupię.

— A jak jej zajęcie? — spytał znów urzędnik.

— Była podobno niegdyś kapitalistką, ale już zbankrutowała zupełnie. Niech pan dopisze: z własnych funduszów.

— Niech tak. A jak się bez zajęcia nie znajdzie, to pan musi kupić nową kartkę za trzy kopiejki.

— Z przyjemnością.

Urzędnik zniknął w głębinach jakichś tajemniczych jaskiń, ja zaś usiadłem przy stole, stojącym na środku pokoju, oczekując na adres. Oczekiwanie trwało dość długo. Przez ten czas zdążyłem wypisać dwunastu posłańcom i 28 osobom innych profesyi czterdzieści rozmaitych otczestw na kartkach. Wreszcie za kratkami ukazał się urzędnik i podnosząc w górę moją kartkę zawołał:

— Pani Sprawiedliwość!

Jednym susem znalazłem się przy nim. Nerwowo pochwyciłem kartkę i spojrzałem na nią.

Niestety! Na kartce wprawnem biurokratycznem pismem było napisane:

Nie prażywajet w Warszawie.

Z teki rozmyślań.

Wolność słowa... ,
Ale w ciszy,
Kiedy tego
Nikt nie słyszy...

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

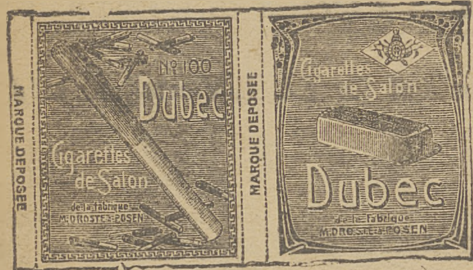
.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

☞ Prosimy odciąć. ☜

Papierosy

12



są najlepsze.

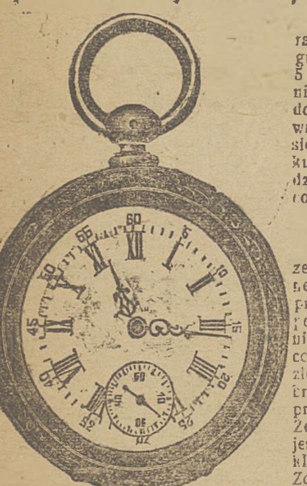
Pewny chleb dla rodaka!

Sala wielka z restauracyą

i pokojami dla przejezdnych gości, z całkiem urządzeniem, w czyto polsk. średniem mieście Księstwa, od nierodaka, jest zaraz na sprzedaż. Cena kupna do 40 tys. mk. Wpłaty do 16 tys. mk., reszta pozostaje na hipotece. Na tejże sali odbywają się wszystkie zabawy i uroczystości bez konkurencyi. Pospiech konieczny. Zgłosz. do Eksp. „Pracy" pod nr. **16.** 16

Olbrzymi wybór!

Najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna



Wszystkie moje zegarki sąstarannie obciągnięte i na minutę uregulowane. Za każdy zegarek daję 5 latpiśmienną gwarancyę. Obawy nie ma żadnej bo to, coby się podobać nie miało, przyjmuję z powrotem i zwracam pieniądze. Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, to trudno, ten sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Olbrzymi wybór!

Czysto srebrne najpiękniejsze zegarki z Matką Boską z 2 złoconemi brzegami i z najlepszymi prima werkami na 10 kamieniach po 12, 14, 16, 18 i 28 mk. Najwspanialszy z Matką Bozką zegarek, złocone litery, z najozdobniejszymi złoconymi brzegami, ciężki w srebrze i z najlepszym na 10 kamieni prima werkiem tylko 26 mk. Zegarka tego z pewnością nikt jeszcze nie widział. Zegarek niklowy cyl. kluczykowy 5,40 i 8 mk. Zegarek posrebrzany kluczykowy 5,90 mk. Zegarek posrebrzany la prima na 6 kamieniach klucz. 7,75 m.

Hurtownie! Detalicznie!

Zegarek czysto srebrny cyl. na 6 kamien. klucz. lub remont. z 2 złoconymi brzegami i prima werk 10 mk. — Ten sam na 10 kamieniach po 12 mk. Łańcuszki po 25, 30, 50, 85 fen., lepsze niklowe po 1, 1,25, 1,50 1,75 mk. **Cenniki bogate** w 1500 ilustracyi na zegarki, łańcuszki, biputerye, także skrzypce, flety, klarnety, harmoniki, oraz noże, brzytwy portmonetki i różne okoliczności owe podarki wysyłam każdemu gratis i franko. 5

M. Danecki, Miejska Górka.

(Görchen Bez. Posen).

Baczność!

W mieście powiatowem, gdzie gimnazyum, sąd seminaryum nauczycielskie, wyższa szkoła żeńska, światło elekryczne i t. d. jest z powodu stosunków familijnych zaraz lub od 1-go lutego do nabycia

skład strojów i towarów krótkich

od kilkunastu lat istniejący z dobrem powodzeniem. Wpłaty potrzeba do 2000 mk. obrotu rocznego około 20 tysięcy mk. Zgłoszenia przyjmuje Eksp. „Pracy" dod nr. **100 A. J.** 10

Dobrze zaprowadzony od 8-miu lat

handel drogeryjny

połączony **z korzeniami i żelazem,** jest **z domem lub bez domu** korzystnie do sprzedania. Dobra egzystencya dla rodaka. Oferty uprasza się 9

M. Ptak, Priment (Bomst).

Piekarnia w Gnieźnie.

14

W moim domu Zielony rynek 4, jest **piekarnia** w biegu z dobremi odbiorcami, dla stosunków familijnych zaraz dalej do wydzierżawienia. Należy 1 skład z oknem wystawnem, obok pomieszkanie i kuchnia.

Moritz Laboschin, Gniezno.

— No niechże cię uściskam, moja żono...
— Boję się...
— Czego?
— Bo mi włosy potargasz.

Przykrawacz krawiecki

biegły i rutynowany w swym fachu, zaopatrzony w dobre świadectwa i rekomendacye, który przez szereg lat pracował w pierwszorzędnych magazynach garderoby męzkiej, poszukuje miejsca.

Oferty uprasza się złożyć w Administracyi „Pracy" pod znakiem **A. 228.**

Kanarki

z najmodniejszemi miłemi melodyami, najlepsza rasa, polecam od 5 do 20 mk.

Tilgner,
Pleszew. 890

Ucznia

do mej drogeryi z odpowiedniemi wiadomościami szkólnemi potrzebuje zaraz

W. Lompa
Śrem (Schrimm.) 8

W restauracyi warszawskiej.

— Dzwonię i dzwonię a nikt się nie zjawia.
— Bo teraz mówi się: panie.
— No to proszę: panie baranie... kotlety.

Do mego składu bławatów w Łasinie poszukuję od 1. 3. 06. 13

1 starszego pomocnika
1 młodszego „
1 kasyerkę
2 wolontaryuszów
1 ucznia.

Oferty z kop. świadectw fotog. i pod. pensyi proszę

M. Adamczewski,
Marienwerder W/P.

Brzytwy! Brzytwy!



Brzytwy

6

jedynie najlepsze z angielskiej dysmentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futerał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.
Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.
Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00. 1,50 i 2,00 mk.
Nożyczki kute stalowe po 40, 50, 60 i 90 fen.
Noże kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen.
Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50, 60 fen.
Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.**

M. Danecki,
Miejska Górka (Görchen in Pos.

Dobrze obeznany

ceglarz

w swym zawodzie, poszukuje miejsca od 1-go kwietnia 1906, najchętniej na akord; takowy jest dobrze obeznany z wszelką fabrykacyą ręczną jako i maszynami parowemi. Pierwszorzędne i długoletnie świadectwa stoją do usług.

Łaskawe oferty proszę pod **Nr. 777** do Ekspedycyi „Pracy" nadesłać.

Uczeń

syn porządnych rodziców z odpowiedniem wykształceniem szkólnem znajdzie w mem handlu żelaza destylacyi i składzie kolonialnym miejsce

C. Urbanowski,
Tuchola Pr. Zach.
Tuchel W/P. 11

Człowiek czasem traci rozum, ale głupotę rzadko.

Poszukuje od zaraz do mego składu bławatnego tow. krótkich i bielizny

ucznia

z dobrem elementarnem wykształceniem 15

J. Okopiński,
Wągrówiec.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Fiens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Bydgoszcz.

Ul. Fryderykowska 41.
JAN GŁOWIŃSKI.
Skład sukna, wykonywanie podług miary, gwarancya dobrego leżenia. Konfekcya męzka i dla chłopców.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.
Edmund Karłowski.

Kostrzyn.

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

Rawicz.

J. Mroczkowski.
Skład tow. kolonialnych, delikatesów, herbaty, araków, wódek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

M. Stachowiak.
Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

—

J. Karpiński.
Pracownia gard. mězkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

A. Zwierzchowski,
pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Strzałkowo.

Nawjększy dom towarowy
W. Ziarniaka
poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.
Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss.
Pracownia pojazdów i lakiernia, gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabrykacya ogrodzeń, nadgrobków z żelaza kutego.

Wolne miejsce do ogłoszeń.